

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA:

Z przesyłką poczt. lub dostarcz. do domu
 Rocznie 8.—
 Półrocznie 4.00
 Kwartalnie 2.00

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Ś. Jerska 15 m. 26
 Otwarte codziennie prócz świąt od
 11 godziny do 4 pp.
 Skrzynka pocztowa № 52

CENY OGŁOSZEŃ:

Przed tekstem za wiersz petitu 50 k.
 W tekście (nadesłane) 1 rb.
 Po tekście 20 k.

Czas odnowić prenumeratę na kwartał 3-ci.

GROŹNY OBJAW.

„Jeden ze znanych naszych pisarzy na polu naukowym“ umieścił niedawno w „Kurjerze Porannym“ artykuł, zwracający uwagę na tandetę, panującą się w instytucjach i czasopismach, mających rzekomo rozpowszechniać wiedzę. „Sądzę—powiada autor—że jesteśmy jedynym na świecie narodem, w którym zupełnie nawet specjalne wydawnictwa zostają pod redakcją nieuków w danym zakresie i gdzie podobnie nieucy stoją na czele towarzystw naukowych“. Błaga i grafomanja na usługach pospolitego karierowiczostwa eksploatują w sposób coraz bezczelniejszy ciemnotę łaknącego światła ogółu. Ludzie, nie mający nic do powiedzenia, zabierają głos w sprawach, które rozumieją piąte przez dziesiąte i wmawiają sobie, że sami „pomyśleli to, czego nawet poprawnie przepisać nie potrafili“ (*kursywa nasza*).

Autor zwraca się w końcu do prawdziwych uczonych, których zresztą — jak przyznaje—mamy strasznie mało, by przerwali milczenie i protest w tej sprawie podnieśli.

Rzeczywiście, czas na to najwyższy. Dodać wszakże trzeba, że kłeska nie dotyczy wyłącznie literatury naukowej, a zwłaszcza popularyzującej wiedzę, co autor zdaje się mieć przedewszystkiem na względzie. Tandeta zalewa dziś całe piśmiennictwo nasze; tryumfy zaś prawdziwe święci w dziennikarstwie.

Wystarcza przejrzyć którykolwiek „organ“—szczególniej z tych t. zw. „poczytnych“—a z samego używanego tu języka łatwo przekonać się o rozpaczliwym stanie kultury współpracowników. Odkąd wzrósł popyt na słowo drukowane (szczególniej od czasów t. zw. „ruchu wolnościowego“) „przemysł“ wydawniczy począł nęcić aferzystów wszelkiego rodzaju. Na prowadzenie pism porywają się figury z pod ciemnej gwiazdy, ludzie, faktycznie nie umiejący ortograficznie pisać. Osobniki, które w Niemczech, we Francji nie posiada-

łyby kwalifikacji na reporterów ostatniego rzędu—zajmują dziś w prasie polskiej stanowiska korespondentów, publicystów, redaktorów, przemawiających w sprawach najrozmaitszych tonem kategorycznym, na jaki ośmielać się może jeno pozbawione autokrytycyzmu prostactwo. Poza tem w „najpoważniejszych“ dziennikach spotyka się artykuły żywcem kradzione, które przepisywacze zaopatrują własnym wstępem i zakończeniem (dla niepoznaki) i podznaczają nazwiskiem swoim czy pseudonimem.

Tandeta ma więc, jak widzimy, i dalsze skutki. Nietylko obniża poziom umysłowy czytelników, ale oddziałuje w najwyższym stopniu demoralizująco. Można sobie bowiem łatwo wyobrazić, do czego zdolni są plagiatorzy, mający do dyspozycji otwarte szpalty pisma. Ci „kierownicy opinii publicznej“ mogą deklamować—nawet czasem bardzo efektownie—na temat uczciwości, ale jej instynktu wpajać społeczeństwu nie są w stanie.

Należy więc przerwać wszelką pobłażliwość i piętnować z całą bezwzględnością przedstawicieli prasy i literatury, dla których nie powinno być miejsca w szanującym się piśmiennictwie.

Kładziemy na konieczność tę nacisk szczególnie nietylko dla tego, że Wilno stało się jednym z miast, w których tandeta grafomańska pozwala sobie na najśmielsze harce, ale że poza tem u nas właśnie ujawniony został fakt, świadczący, jak daleko zło w całej Polsce już się posunęło.

Oto teatr tutejszy wystawił jednoaktówkę p. Bolesława Herbaczewskiego: „Don Juan Moderne“, sztukę, nagrodzoną na konkursie „Lutni“ Łódzkiej w r. 1908 i grywaną na wielu scenach. Jak się okazuje—jest to przetłumaczony żywcem (z zachowaniem fatalnych rusycyzmów) utwór N. Krestowskiego, noszący w oryginale tytuł: „Sriedstwo wygoniał' wotkow“. Owa *moderne* komedyjka jest tak stara, że jej wyjątki znajdujemy w podręczniku Swiedencowa: „Rukowodstwo k izuczenju sceniczeskaho iskustwa“ (wyd. w r. 1887). P. Herbaczewski trochę ją tylko „poprawił“, czyli zepsuł,

zmienił tytuł i wysłał na konkurs, umieszczając na kopercie godło: „Na gwałt potrzebuję stu rubli“.

Cyniczny ten napis jaskrawo oświetla, z jaką nonszalancją sprytny grafoman traktuje społeczeństwo.

Oczywiście jednak społeczeństwo samo jest temu winne. Muszą bowiem istnieć w niem warunki, nietylko umożliwiające podobne fakty, ale wprost kultywujące okazy w rodzaju p. Herbaczewskiego. Bo ostatecznie z kogóż składał się ów areopag konkursowy? Najwidoczniej z ludzi, nie posiadających żadnych kwalifikacji na sędziów twórczości literackiej. Ludzie ci — jak to zbyt często w naszych stosunkach się zdarza — nietylko sami podjęli się pracy, przechodzącej ich kompetencję, ale, co znamiennejsze, *powołani* do niej byli przez instytucję społeczną. A dalej — co sądzić o tej niezliczonej rzeszy recenzentów i wzmiankarzy teatralnych, z pośród których *ani jeden* nie poznał się na plagiacie. Zdawałoby się, że pierwszym obowiązkiem dziennikarskiego specjalisty w sprawach teatralnych jest znajomość nie tylko własnej, ale i obcej literatury scenicznej. Nie można wprawdzie wymagać, by każdy taki specjalista znał wszystkie literatury europejskie, ale mamy prawo żądać tego od całego grona tych panów.

Lecz właśnie krytyka teatralna jest tandetą w prasie polskiej największą. Nietylko zresztą tandetą. Prócz zupełnego — z nielicznymi wyjątkami — braku znawstwa, panuje w niej najniższego rzędu (grzecznie mówiąc) subiektywizm, kierujący się często względami wręcz oburzającymi. Zdawałoby się, że na stanowisko krytyków teatralnych, następczające mnóstwo pokus do schodzenia z wązkich drożyn uczciwości i prawdy, powinni być dobierani ludzie wyjątkowej prawości; że prawość ta niejednokrotnie powinna być ceniona wyżej nawet od znawstwa. W rzeczywistości dzieje się wprost przeciwnie. Stanowiska te zdobywają w bardzo wielu wypadkach szumowiny dziennikarskie, dyletanci żądni wpływów, którzy wyszukują bezkarność swą i możliwość uzależnienia od

kaprysu swego dyrektorów, aktorów i autorów dla załatwiania obcych sztuce rachunków.

To też wcale nie jest wykluczone, że ten i ów „recenzent“ wiedział nawet o popełnionym przez p. Herbaczewskiego plagiacie, ale nie uważał za stosowne demaskować człowieka, z którym łączy go pobratymstwo duchowe.

Są to wszystko okoliczności, które na alarm wołać każą. Obecny bowiem stan rzeczy kultury polskiej poważnie zagraża. Do czegoż dojdziemy, jeśli złodzieje moralizować nas będą, a blagierzy kształcić? Piśmiennictwo — ten w istniejących warunkach najcenniejszy skarb narodu — staje się coraz lepszą „pożywką“ dla sprytnych urwiszów, drwiących sobie cynicznie ze społeczeństwa i jego przyszłości.

H. R. C.

Na rozdrożu.

Artykuł niniejszy nie zupełnie odpowiada poglądom Redakcji; zamieszczamy go jednak, jako głos w sprawie dziś aktualnej.

Państwo rosyjskie przeżywa obecnie jeden z tych momentów krytycznych, które określają na dłuższą metę przyszłość kraju. Niby przed herosem bajkowym, znów ścielą się przed nim trzy drogi: jedna prowadzi naprzód, druga w tył, trzecia zaś kręci się wokół martwego punktu. Po tej ostatniej drodze prowadzili — lub też, lepiej, usiłowali prowadzić Rosję — Stołypin i Kokołow.

Z kolei rzeczy i obecny premier uznał, widocznie, za dogodnie i odpowiednie, kroczyć po niej *ad infinitum*, nie mając odwagi czy też siły wręcz zerwać z konstytucyjnymi mrzonkami, co by tak lico wało z całą jego przeszłością polityczną. Czy ten bezruch doprowadzi do celu, jest rzeczą nader wątpliwą.

Konieczność wymaga przedewszystkiem i głównie ruchu, a nie jego iluzji; wszelkie wysiłki utrzymania się na jednym punkcie skazane są z góry na niechybną zagładę. I dlatego też nie przypad-

Benedykt Hertz.

Harfa czarodziejska.

(Baśń.)

Był las. Stary, ogromny las. A gęsty taki, że gdzie się ruszyć, pnie grube, mchem siwym obrosłe, zastępowały drogę. Słońca tu nigdy nie było widać, bo splecione konary świerków, dębów, brzoź i jesionów już na wysokości chłopca rosnącego zielonem wisały podniebiam.

Choć mrok sępił nawet letnie południe, ni ruchu, ni życia nie brakło. Od kniei do kniei przebiegały wciąż liczne stada zwinnych saren, danieli, łosiów i jeleni. Na haliznach o zmroku trwożliwe wiecowały zające. Po gałęziach rude uwijały się wiewiórki, a wielogłose chóry ptactwa wypełniały powietrze nieustannym świergotem. Nocami puszczyk leśną zwoływał starszysznę. Wówczas z nor i niedostępnych barłogów, szukające żeru, wysuwały się drapieżce. Puszczyk budziły ze

snu ryki, wycia i pomruki zwycięzców, tudzież urywane krzyki mordowanego pospólstwa.

Miał nad borem tym panowanie stary srebrnowłose książę. Wiek sędziwy pochylił go ku ziemi i dobrocią, która z braku doczesnych pożądliwości płynie, rozjaśnił mu oblicze. Mieszkał on w zamku warownym, co stał w samym środku puszczy, opasany fosą głęboką i wysokim ostrokołem.

Książę miał trzech synów. Najstarszemu było na imię Krzepiec. I słusznie, bo moc posiadał ogromną. Niech jeno śmigę ułapi — młyn w moment zatrzyma; głazy, jak snop wielkie, jedną ręką ponad sosny miotał; a wołu tęgiego za rogi brał i o ziemię walił. Osilek był, że darmo drugiego takiego szukać.

Drugi syn książęcy zwał się Chytróń. Ten ci był znów, jak rabin, mądry. Na sypkim piasku, czy na igliwie każdy ślad zwierza rozpoznawał; wszelki głos uławał. Zakracze orłem — ptactwo w popłochu się zrywa; zabeczy łanem bekim — rogacze na prześcigi pędzą. Potrzaski takie majstrował dowcipnie, że się w nie chwytaly stare, doświadczony lisy; wiedział, jak sidła zakładać,

kowo w polityce Stołypina dawało się coraz więcej uczuć odchylenie w stronę przeszłości, — i nie przypadkowo odchylenie to doprowadzało do potęgowania się mroku, który gęstym woalem ometał teraźniejszość.

Lecz cóż składa się na całokształt tej przeszłości, której powrotu tak płomiennie i namiętnie pożądamy jedni, niedostatecznie zaś obawiają się inni? Na pytanie to dzieje ostatniego 50-lecia dają nader wymowną odpowiedź, która wyłącza możliwość wszelkich wątpliwości.

Stary ustrój państwowy, w czasach swego najpyszniejszego rozkwitu, uświadamiał sobie niezbędną reform u podstaw, ale nie mógł zapewnić im trwałości i ustalenia raz na zawsze. Epoka „wielkich reform“ zmuszona była przeto ustąpić miejsca epoce застоju, który wkrótce przeobraził się w stanowczą reakcję. Rozpoczęło się usuwanie przejawów życia, opartego na zasadach prawa. Masy ludowe z roku na rok coraz więcej ubożały i dziczały.

W szerokich kołach społecznych potęgowało się z jednej strony niezadowolenie, graniczące często z okrucieństwem, z drugiej zaś — zaślepione samoolśnienie, które groziło katastrofą.

I gdy tylko poddano próbie zewnętrzną potęgę państwa, potęgę, na której ołtarzu składano ofiary ze stanu wewnętrznego, rozszalała się burza. Czyż są więc dane do przypuszczenia, iż powrotne powołanie do życia *regime'u*, który w chwili krytycznej takie wydał skutki, doprowadzi do innych, pomyślniejszych rezultatów? Jakiemi nowymi siłami będzie on rozporządzał, w czym znajdzie swą ostoję duchową, jakimi środkami poprowadzi walkę przeciw wrogim żywiołom? Jeśli rozmnożyły się one i wzmocniły wówczas, gdy twierdza władzy wprost była niezwyciężona, to czyż można przypuszczać, że zginą one lub ukorzą się po chwilowym zwycięstwie i po represjach? Przypuśćmy na chwilę, że udałoby się je zgniebić — rzecz jasna, tylko na pewien czas, — i zapewnić wszystkim spokój zewnętrzny i ciszę; czyż osiągniętoby zarazem *maximum* zaufania, w braku którego nie do pomyslenia jest jakiegokolwiek kredyt moralny, jakiegokolwiek produktywność pracy ludowej?

W czyje ręce dostałyby się rządy krajem, gdyby zwyciężyła prostolinijna reakcja? Czegóż można byłoby spodziewać się od skrajnej prawicy, która okazałaby się panią sytuacji? Zechciałaby podzielić swą władzę z doświadczoną biurokacją, a z konglomeratu zastygłej rutyny z wydobytem na światło nieuctwem i przestrzeganiem wyłącznie własnych interesów otrzymalibyśmy taką kombinację, wobec której dobru czasu wydałyby się nam lata srożenia się najgorszej reakcji.

A może za drogę, wiodącą naprzód, należy uznać tę „politykę nacjonalną“, którą powołał do życia Stołypin i którą tak zalecają jego następcy?

W rzeczywistości nie jest ona bynajmniej wynalazkiem Stołypina: wydobył ją on tylko z otrzymanego przez się archiwum spadkowego i nieco odświeżył, atoli nie w treści jej, lecz tylko zewnętrznie. Dawniej mówiło się o rusyfikacji — obecnie nacjonalizm mówi o prawach i dostojności panującego narodu; dawniej wszystko sprowadzano do mianownika rozkazów i zakazów — obecnie dodaje się demagogję i wyzyskuje waśni i nienawiści wśród ludności. Hasło nacjonalistyczne pozostaje to samo: „Rosja dla Rosjan“, ale stosowanie go w życiu pozostawia się zorganizowanej inicjatywie prywatnej. Państwo, obejmujące mnóstwo narodowości i plemion i żądające od każdego z nich służenia swoim interesom — nacjonalizm ogłasza za istniejące tylko dla dobra jednego z nich.

Tożsamości rzeczy głównych odpowiada identyczność szczegółów: w Królestwie Polskiem np. tryumfują legiendy z czasów jen. Hurki; do Żydów stosowane są metody, opracowane jeszcze przez hr. Ignatiewa, lecz znacznie rozszerzone i wyrazistsze; w Finlandji kontynuuje się politykę jen. Bobrikowa i t. d. „Polityka nacjonalna“ jest, wobec tego tylko jednym z określeń starego poglądu na zadania i sposoby rządzenia państwem. Nie darząc zaufaniem mniejszości poddanych, tem samem nie darzy się nią i większości: wolność bowiem nie może być pełna i realna, dopóki nadaje się ją nie wszystkim, opiera się nie na podstawie równouprawnienia, lecz przywileju.

gdzie jamy kopać i czem je pokrywać. Słowem — myśliwy był pierwszy.

Bo trzeba wiedzieć, iż obaj książęcy synowie nic innego nie robili, tylko polowali. Tym sposobem w imieniu ojca sprawowali rządy nad puszcza i ścigali od niej przynależny haracz.

Jedynie najmłodszy brat, Wietrek, w pracy tej nie brał udziału. Całymi dniami na ustroniu legiwał, w szept liści zasłuchany. Czasem znów nad strumykiem siedział, dłoń w wodę zanurzył, bawiąc się jej pluskiem i chłodem. To wreszcie na polankę wyjdzie, co się kwieciem różnobarwnem do nieba uśmiecha, a potarawszy się w trawie, padnie do góry brzuchem i z obłokami gada lub gwiazdy rachuje.

Ale najlepiej lubił Wietrek fujarkę z wierzbi-ny se ukreć i grać. Oj, grał-ci on, ładnie grał. Czasami skocznie, czasami smętnie; wiadomo — jak mu tam na duszy było.

Bracia nie lubili tego. Bo co z takiego świ-stantia? Nic. Ino się zwierzy na płoszy i tyle. Więc ganił chłopaka precz, jaknajdalej od miejsca, gdzie umyślił polować.

Aż razu jednego, gdy im bardzo spocił, roz-

pędziwszy tokujące głuszce, przyzwali go do siebie i Krzepiec tak powiada:

— Słuchaj Wietrek, albo się ustatkujesz i będziesz nam w robocie pomagał, albo idź precz i żeby cię nasze oczy nie widziały, bo będzie źle.

Co było robić? Ano, przystał Wietrek.

— Poprawię się — mówi — gotówem wam pomagać, jeno powiedzcie, co mam robić.

— Będziesz opatrywał sidła i potrzaski, co Chytron nastawia; a skoro najdziesz przyłapanie zwierzę, dobijesz i przyniesiesz do domu.

— Dobra.

Dali mu siekierę, oszczep widlasty, wielki nóż myśliwski i wskazali, kędy iść trzeba.

* * *

Las budził się ze snu. W rudziejącym mroku majaczyły już kontury drzew. Gdzieś wysoko ciurkał dzięcioł, a niezadługo odezwała się i wrona: zakrakała raz i umilkła. Wietrek z trudem niemym wdzierał się w gęszczary, osnute zeschłemi krzewami, niby pajęczyną.

Naraz posłyszał skomlenie. Strasznie było żalosne.

„Polityka nacjonalna“ była, a raczej chciała być polityką „ochronną“. Wskutek tego ani na jotę nie zbaczła ona z drogi, wytkniętej przez tradycję. Stała na straży nietylę prawa, ile porządku, i to nie tego, który jest przesłanką swobód obywatelskich, lecz tego, który nie sławia żadnych tam administracyjnemu „uznaniu“: porządku usypiającego, gdy dopiero budzi się do życia samodzielność społeczna, porządku cementarnego, gdy zrodziła się już ona i uświadamia sobie swe prawo do istnienia. Naturalnie, jak w jednym, tak i w drugim wypadku porządek ten zawsze jest niezgodny z istotnym światem wewnętrznym.

Stosowanie represji i ograniczeń stało się zjawiskiem zwykłym, pospolitem, lecz nigdy nie sięgało granic, jakie nacjonalizm propaguje obecnie. Dalej już iść niepodobna, i to jest w gruncie rzeczy powodem iż na tej płaszczyźnie nic nowego nie obmyślono, i że wszystko to już kiedyś było. Wszystkie te środki, sposoby, przykręcania szrub w swoim czasie zawiodły.

Czyż nie jest to najlepszym wskaźnikiem i sprawdzianem faktu, iż najwyższy czas, wycofać się z zaczarowanego koła przeszłości i wstąpić na drogę, jeszcze nie wypróbowaną, lecz jedynie pewną i prowadzącą do celu? I im prędzej dokona się ten zwrot, z tem większym spokojem można będzie spoglądać w tajemne oblicze przyszłości.

Droga, o której wyżej wspominaliśmy, w znacznym stopniu została wytknięta przez manifest październikowy 1905 r. Powołał on przedstawicielstwo ludu do udziału w pracy prawodawczej: udział ten musi być zabezpieczony od wszelkich obraz i samo przedstawicielstwo powinno się stać ludowym w całym tego słowa znaczeniu. Przyobiecał wolność polityczną, i wolność ta powinna znaleźć swe jasne odbicie w prawie i istotne urzeczywistnienie w życiu codziennym. Ukaz 12 grud. 1904 r. przyobiecał poszanowanie prawa: winno ono być zabezpieczone drogą anulacji szeregu tymczasowych, nadzwyczajnych środków. Równość przed prawem, która zabezpiecza istotne władztwo prawa, powinna istnieć nie tylko dla poszczególnych osób, nietylko dla narodowości, zalud-

nających państwo, lecz i dla grup społecznych, a przede wszystkim partji politycznych, których swobodna i otwarta działalność lepiej, niż stany wyjątkowe i najrozmaitsze represje, zapewnia spokój państwu. Władza powinna stać poza wszelkimi partjami, gdyż wówczas tylko może ona być ponadpartyjną. Zadania prawodawstwa w takich warunkach określają się same przez się: dyktować je będą potrzeby ludu, bez różnicy plemiom, wyznania czy też stanów. I jakkolwiek niedoskonały jest system wyborczy z d. 3 czerwca 1907 r., jednakże i przy jego działaniu Duma Państwowa, w warunkach niewywierania wpływu na bieg wyborów, może poczynić pierwsze kroki ku lepszemu jutru, którego już od tak dawna i nadaremnie wyczekuje całe państwo.

Przy depresji i zwątpieniu, które obecnie są wytycznymi nastrojami społeczeństwa, możnaby nas zapytać, na czym opieramy naszą pewność co do możliwości urzeczywistnienia przytoczonych „ideałów“ dzisiejszej szarej codzienności? Tej pewności, rzecz jasna, nie mamy, zarówno, jak i nadziei, iż w najbliższej przyszłości coś się zmieni. Jesteśmy tylko przekonani, iż zmiana jakaś dokonać się musi, czego najlepszym wskaźnikiem jest rosnąca opozycyjność sfer umiarkowanych i niezadowolone ich z obecnego kursu.

Bolesław Rozstański.

Przesilenie gabinetowe we Francji.

(Koresp. wł. „Przegl. Wileńsk.“).

Paryż w czerwcu.

Ojczyznę kryzysów ministerjalnych jest Francja! Nie powiem, aby kryzysy te były dla trzeciej Rzeczypospolitej tak dalece szkodliwe, jak tego by chciała reakcja międzynarodowa. Ciągły rozwój Francji, nieustanny jej pochód naprzód na drodze cywilizacji, na drodze technicznych i intelektualnych zdobyczy—fakt ten głuszy wrzaski puszczyków wstecznictwa.

Ścisnął w garści oszczep i idzie za głosem. Na dnie małej kotlinki, porosłej kępami jałowca, ujrzał rozpaczliwie szamocące się zwierzę. Był to wilk duży, jak żrebie. Żelazo uchwyciło go za prawą przednią łapę, którą usiłował wyrwać, to kuląc się w pałąk i zbierając siły, to znów skacząc na wsze strony.

Wietrek zbliżył się ostrożnie.

— Ehe! — zawołał — przestań fikać, bo się to na nic nie zda. Kto się w sidła brata mego Chytronia złapie, temu już nie do tańca.

— Wiem — odpowiada wilk — ale boli okrutnie, a skakanie trochę ulgi przynosi.

— Tak srodze więc cierpisz?

— A cóżeś ty myślał, że wilk czucia nie ma? Toć ta żelazna szczeka w żywy gną zębiska mi wraziła.

Wietrka aż dreszcz w żebra pocięta.

— Trzeba cię — powiada — wneciuchno dobić, żebyś się długo nie mordował. Stój chwilę spokojnie, to ci oszczep w brzuch wetkne.

— Lepiej dźgnij nożem w serce. I mnie lżej będzie, bo cios pewniejszy, i tobie chwała większa.

Bracia powiedzą: zuch Wietrek; nie bał się zbliżka do wilka podejść.

Chłopcę spodobała się rada.

— Tylko — dodał jeszcze wilk — naostrz nóż dobrze, żebyś mnie darmo nie męczył. Bo jeśli nie zabijesz odrazu, mogę ci z bólu krzywdę jakąwą zębem uczynić.

Poszukał Wietrek kamienia i zaczął nóż szlifować. Co widząc, wilk powiada.

— Jeszcze jedną mam do ciebie prośbę.

— Jaką?

— Skoroś taki dobry i ulżyć chcesz mej dole, wetknij co między żelazo, by mi trochę łapę popuściło.

Pchnął Wietrek drzewce w rozszczep potrzasku, a wilk skorzystał z chwili; łapę wyrwał, machnął nią, aż jucha daleko mech obryzgała i kulając puścił się w las.

— To to tak? — krzyknie chłopak. — Taka twoja wdzięczność za moje dobre serce? Jakże ja teraz do braci wrócę? Gdzie się podzieję?

Usłyszał te słowa wilk i zatrzymał się.

— Przyznaję — powiada — że masz dobre

Ciągle kryzysy gabinetowe obfitują wszakże w pewne, jak się mówi w języku francuskim, *inconvenients*, a głównie w niespodzianki. Niespodzianki jedna po drugiej następują tu w tak szybkim tempie, jedna od drugiej bardziej fantastyczna i bardziej zdumiewająca, że czasami trudno orjentować się w powstającym stąd chaosie politycznym — skutkiem to perfidnych manewrów bezsilnej prawicy.

W świetle bezstronnej analizy ostatnich wypadków sytuacja polityczna tak się przedstawia:

W najbogatszym na świecie kraju cały ciężar podatkowy spoczywa na barkach ubogiej klasy pracującej; kapitaliści zaś, rentjerzy i bankierzy, mający po kilkaset tysięcy franków rocznego dochodu, prawie żadnego podatku nie płacą.

Gabinet p. Barthou miał odwagę bronić niepojętych przywilejów plutokracji i z tego powodu upadł. Była to pierwsza niespodzianka, raczej zawód bolesny: zasłużony skądinąd republikanin tak dalece sprzeniewierzył się kardynalnym zasadom postępu i demokracji.

Po upadku Barthou ster władzy ujmuje w swe ręce gabinet szczerze demokratyczny z Gastonem Doumergue'm na czele, politykiem, mającym wszakże tę kapitalną „wadę“, że chciał kierować nawiązaną państwową metodami bezwzględnie lojalnemi. Doumergue i Caillaud, zmuszeni zdobyć miliard franków na zatkanie paszczy hydrze militarysty, pragnęli za wszelką cenę kres położyć skandalicznej i hańbiącej sytuacji, jaką jest uprzywilejowanie rentjerów. Reakcja wówczas podnosi tak gwałtowną burzę, że jedynie huk wystrzału rewolwerowego i tragiczna śmierć jednego z filarów arystokracji pieniądza, na chwilę zdołały ją umioryć.

Skandal ten wywołuje nową niespodziankę: kraj do głębi oburzony infamją obrońców kapitału, posyła do parlamentu wartą i jednolitą większość skrajnie radykalną. Lewica republikańska zyskuje kilkanaście mandatów, zaś zjednoczona partja socjalistyczna osiąga jedno z najznakomitszych zwycięstw politycznych, jakie znają dzieje parlamentaryzmu. Mówią o wejściu socjalistów do gabinetu i zapewnia się, że prezesem Izby nie będzie nikt inny, jak

skrajny radykał. I oto rodzi się jeszcze jedna niespodzianka: Paweł Dechanel, umiarkowany liberał, zostaje obrany 411 głosami, czyli taką większością, jakiej żaden jeszcze prezes parlamentu francuskiego nie otrzymał.

Lecz na tej niespodziance jeszcze nie koniec.

Wybory prowadzone są w myśl hasła republikańskich. Prawica i centrum ponoszą fatalną porażkę. Nawet tak poniekąd zasłużeni i długoletni parlamentarzyści obozów umiarkowanych, jak hrabia de Montebello, jak bracia Józef i Teodor Reinachowie, przepadają z kretesem. Zwycięża całkowity program tudzież polityka *à la lettre* premjera Doumergue'a. Wszyscy winszują mu sukcesu i wróżą długiego żywota na zaszczytnym stanowisku. Aż tu naraz, jak wybuch bomby, nowa oszołamia niespodzianka: Doumergue podaje się do dymisji! Jest to nowina tak zdumiewająca, że opinja początkowo nie chce dać wiary. Cóż bowiem mogło skłonić Doumergue'a do porzucenia stanowiska w chwili, gdy świetne zwycięstwo zapowiadało mu zwiększenie powodzenia i autorytetu? Pretekst, podany przez ex-premjera, jest następujący: „Zadanie, które miałem wykonać — rzekł on — spełniłem. Objąłem władzę w niezwykle trudnych warunkach, w momencie, w którym reakcja zdobywała panowanie. Celem moim było zwrócić politykę państwową na lewo i zapewnić idejom republikańskim bezwzględną większość w Izbie. Misji tej dokonałem. Będzie ona dla mnie najpiękniejszym i najmiłszym wspomnieniem w mojej karierze politycznej“. Skoro jednak zauważono, że wyjaśnienie nic nie mówi o motywach dymisji, Doumergue dodał: „Kraj wypowiedział się dość jasno: pragnie polityki szczerze postępowej; posyłając do parlamentu przeszło 100 socjalistów, lud winien być rządzony przez osobę, bardziej odemnie na lewicy stojącą“.

Konsekwentnie postąpił tedy Poincaré, powierzając władzę Viviani'emu, niezależnemu socjaliście. Partja Vivianiego i Augagneura stanowi w bloku republikańskim — centrum, podczas gdy radykaliści stoją na jego prawym skrzydle, a socjaliści zjednoczeni na lewym. Tymczasem Viviani spotkał się z nieoczekiwanymi trudnościami. W każdym razie logika rze-

serce i ja ci tego nie zapomnę. A jeśli boisz się wracać do domu chodź za mną.

— To nie mykaj tak prędko, bo nadążyć trudno.

— Mnie pilno; czekać nie mogę. Idź moim krwawym śladem. Zawiedzie cię on do sowej chatki, co się w boru kręci na kurzej stopce. Obejdiesz ją trzy razy w lewo, trzy razy w prawo; a gdy się zatrzyma, do drzwi zapukasz mówiąc:

Sam jeden tu stoję,
Złych braci się boję.

Tedy ukaże ci się gospodyni i nim okiem łypnie, powiesz, czego sobie życzysz. Każde twe żądanie będzie spełnione.

To rzekłszy, wilk spiesznie pokuśtykał; dwa razy jeszcze mignął pomiędzy drzewami i znikł.

Idzie Wietrek krwawym śladem, idzie cały dzień i aż dopiero pod wieczór ujrzał małą chatkę, co się jak bąk w miejscu kręciła. Obszedł ją w lewo, obszedł w prawo — stanęła. Zapukał i wyrzekł zaklęcie. Otworzyły się drzwiczki, a na progu siadła gruba, jak z kamienia wykuta sowa.

Mały, zakrzywiony nosek, odstające uszy i wybałuszone ślepią czyniły z niej istne straszdyło.

Wietrek aż się przeżegnał na ten widok.

— Czego tu chcesz? — zapytała sowa, szeroko wytrzeszczając oczy.

Teraz dopiero przypomniał sobie chłopak, że nie wie, czego właściwie żądać. Lecz na pomyślenie czasu nie mając —

— Fujarki — powiada.

Huknęło ptaszysko śmiechem djabelskim i odskoczyło wtył. Drzwi się zatrzasnęły i chatka znów poczęła wirować. Wietrek opuścił głowę, a tu u nóg jego leży zielona fujarka.

— Ha, dobre i to — pomyślał — co chciałem, tom dostał.

Podniósł fujarkę i idzie, sam nie wie dokąd. Nabierał jagód i orzechów, posilił się i siadł pod brzozą płaczącą. Młoda była brzoźka, biała i wiotka. Pniaczek miała u góry załamany, a ze zwieszonymi cienkimi gałązkami wyglądała, jak dziewczyna, co schyliwszy się, włosy przez głowę ku ziemi opuści. Rzekłbyś, wnet się wyprostuje i kosę pleść zacznie. Spodobała się chłopcu.

c. d. n.

czy wymagała, by na szefa władzy wykonawczej powołał Poincaré osobę, przekonani pokrewnych Viviani'emu lub Doumergue'owi. Tu jednak następują nowe niespodzianki: Poincaré próbuje powierzyć władzę ludziom, którzy zwalczali politykę i Doumergue'a i Viviani'ego. Ale i Dupuy, i Bourgeois, i Peytral, i Clementel, i Delcassé, i Dechanel dziękują prezydentowi za jego względy — odmawiają podjęcia się uformowania gabinetu. Wreszcie Poincaré decyduje się na krok, którego nikt spodziewać się nie mógł. Do pałacu Elizejskiego powołuje 72 letniego Aleksandra Ribot'a, senatora, zasiadającego na prawicy liberalnego centrum, polityka energicznie zwalczającego postępową reformę fiskalną, republikanina, który głosował przeciwko oddzieleniu kościoła od państwa. — Ribot tworzy gabinet, w którym niema ani jednego radykała — gabinet, tak umiarkowany, że go radykalna większość parlamentu obala, nim zdążył ująć władzę w swe ręce.

Szczególnie intrygującym momentem obecnego przesilenia, momentem zarówno politycznym, jak i psychologicznym, była właściwa przyczyna, która skłoniła Doumergue'a do porzucenia władzy, lub mówiąc inaczej, do „dezercji w samym rozgwarze bitwy“?

O przyczynach tych przeciwnicy gabinetu opowiadali różne niestworzone bajki. „Liberté“ np. zapewniała, że Doumergue, piastując po raz pierwszy godność ministra spraw zagranicznych, nie miał pojęcia, jak rolę tę wykonywać. Podczas pobytu królestwa angielskiego w Paryżu miał Doumergue uczyć się dopiero elementarnych zasad etykiety dworskiej.

Inne pisma twierdziły, że sam Poincaré zmusił Doumergue'a do ustąpienia ze stanowiska. I to również okazało się fałszem. Prasa klerykałna skorzystała, aby jeszcze raz podnieść starą legendę, jakoby Doumergue był osobistością drugorzędą, że sprawowanie władzy było po nad jego siły i kwalifikacje i t. p. Socjaliści zarzucali mu, że nie ma odwagi wypowiedzieć się za natychmiastowem skasowaniem trzyletniej służby, za dokonaniem amputacji swego ministerjum, celem pozbycia się członków zbyt gorliwych w kwestji militarnej.

Pradopodobniejszemi wydają się dwie zgola inne przyczyny, kolportowane po kuluarach parlamentu.

Pierwszą z nich miało być oświadczenie delegacji bankierów paryskich, że pożyczka wewnętrzna Francji nie zostanie pokryta, jeśli rząd dokona „zamachu na własność prywatną“, to znaczy, jeśli zechce przeprowadzić podatek od dochodów i kapitałów. Za drugą zaś przyczynę uchodzi fakt że stronnictwo radykalno-socjalistyczne (do którego należy Doumergue), samo podobno zmusiło eks-premjera do porzucenia władzy, chcąc obdarzyć nią innych swoich kandydatów, mocniej przeciwstawiających się „wybrańcowi reakcji“, Poincaré'emu. Dlatego mnożyło też Viviani'emu trudności. Atoli po niespodziewanej próbie z Ribotem spostrzegło, że stanowisko bezwzględne może dać wyniki zgola niepożądane, wręcz przeciwne intencjom. Ribot upadł wprawdzie, ale obaliła go większość 306 głosów przeciw 262. Różnica sił jest zbyt mała, by lewica czuć się mogła zupełną panią położenia.

To też gdy po raz drugi przystąpił Viviani do formowania gabinetu, poszło mu to z taką łatwością, że łatwość tę — po poprzednich trudnościach — uważać można za nową niespodziankę.

Nowy premier wysunął na plan pierwszy naj

aktualniejszą dziś sprawę — kwestję trzyletniej służby wojskowej. Termin ten, jako deputowany, sam zwalczał obok czterech innych członków obecnego ministerjum. Wybory do parlamentu wskazały, że stanowisko to podziela opinja większości społeczeństwa, przeciwnego rozrostowi militarizmu.

Istnieją jednak względy, uniezależniające militarizm od zapatrywań, w narodzie popularnych. Mają tu głos — obcy, sąsiedzi: wrogowie i sprzymierzeńcy, którzy nakazują Francji zbroić się dalej.

Viviani'emu udało się pogodzić narazie postulaty stron obu.

Jego polityka militarna ma być przejściem od form dotychczasowych do propagowanej przez Jaurès'a milicji, t. j. powszechnego uzbrojenia narodu. System ten daje Szwajcarji np. siłę, której nie osiągnęłaby nigdy metodami państw militarnych. W Szwajcarji każdy jest żołnierzem; żołnierki uczy się od lat niemal dziecięcych. Naukę tę uzupełnia po dojściu do pełnoletności paromiesięcznymi ćwiczeniami. Otrzymuje następnie na własność broń, umundurowanie i wraca z tem do domu, do zwykłych zajęć. Wciągu kilku lat następnych wzywany bywa co pewien czas na ćwiczenia parotygodniowe, a potem jest obowiązany wystrzelać wciągu roku pewną ilość patronów dla wprawy.

Przy doskonałych środkach komunikacji, rozpowszechnieniu telegrafu i telefonu, a wreszcie przy powszechnym, gorącym patriotyzmie szwajcarów, Szwajcarja może każdej chwili i w każdym punkcie koncentrować siły zbrojne z nadzwyczajną szybkością.

Oto ideał do którego dąży obecnie Francja, a Viviani w deklaracji swej dał do zrozumienia, że dążenie to popierać będzie. Dopóki wszakże młodość w wieku szkolnym nie przygotowuje się do pełnienia służby wojskowej, zrywać nie można z systemem istniejącym, koszarowym, przy którym trzyletni pobyt w szeregu konieczny jest dla zapewnienia sił Rzeczypospolitej.

Deklaracja ta zyskała pełne uznanie Izby deputowanych, która 362 głosami przeciw 139 wyraziła gabinetowi *votum* zaufania.

...sta...

Nowe uściski.

Ludzie pięknych frazesów i papierowych sentymentów, nie umiejący znaleźć rady na fakt, że instytucje, teoretycznie piękne, w dzisiejszej praktyce szpetnymi się stają — ratunku dla nich szukają w bladzie. Lękają się stwierdzić, że tam, gdzie panuje ciemnota i demagogja, „wola ludu“ może być głupia; tam, gdzie państwo służy klice, a nie społeczeństwu, „upaństwowianie“ może być szkodnictwem; tam, gdzie nędma ułatwia korupcję, system reprezentacyjny staje się formą bez treści — etc.

Prawdy te osłania się najczęściej kłiwą deklaracją, która w wielkie dzwony uderza zwłaszcza wówczas, gdy przypadkiem istotna zatryumfuje prawda.

Mieliśmy klasyczny tego przykład niedawno. Po procesie Bejlisa.

Czem najczęściej bywają sądy przysięgłych — wiemy. Jakkolwiek z reguły lepsze są od koronnych,

w praktyce jednak, przy okolicznościach istniejących, nie daleko najczęściej odbiegają od typu, przedstawionego nam świetnie w „Zmartwychwstaniu“ Tolstoja. Panuje w nich przypadkowość.

Mimo to, po procesie kijowskim czytaliśmy sąz-niste dytyramby, wynoszące czyste sumienie ludu i „zdrową opinię“ narodu. Nawet tutejszy „Kurjer Litewski“ przed owym „zdrowiem“ i tą „opinją“ czo-łem uderzył.

A w kilku dni potem dowiedzieliśmy się, że ta „zdrowa opinia“ podzieliła się *pro* i *contra* na dwie absolutnie równe części; wyrok zaś uniewinniający był tylko rezultatem — formalistyki.

* * *

Coś innego, a jednak podobnego powtórzyło się po procesie Bendasiuka.

Uniewinnienie przez ławę przysięgłych lwowskich bandy zauszników hr. Bobryńskiego stało się dla części prasy polskiej i rosyjskiej okazją do wznowienia blagierskiego flirtu.

— „Nie zapomnimy wam tego!“ — wołają z pa-tosem protektorowie Bendasiuka.

A dzienniki warszawskie, niby nie słysząc i nie oczekując tego, ze skromną godnością odpowiadają: „Widzicie, wy nam tak, a my wam tak. Bo sprawiedliwość polska“... etc. Tu i owdzie dorzuca się też komentarze o przewrotności Wiednia, co chciał poróżnić „braci“, ale mu się nie udało, ku nielada je-go konsternacji.

W rzeczywistości przecież konsternację widzimy nie tylko w Wiedniu. Dostrzegamy ją również w samym Lwowie. Poza prasą endecką, sprzyjającą, na złość ukraińcom, „moskalifilstwu“, wyrok przysięgłych uległ we wszystkich innych pismach poważnej krytyce. Tłumaczy go ona prostactwem sędziów, zdolnych oburzać się tylko na przestępców, powodujących szkody materialne, a niewrażliwych na uszczerbek, przy-czyniany — dobru „idealnemu“...

Jest przesada w tych słowach, ale jest też i nie-dopowiadania czegoś. Jest jakby lęk, by nie zrodzi-ły się podejrzenia, iż wśród polaków galicyjskich nabierają sił żywioły, posuwające się za daleko w ko-kietowaniu „zaprzyjaźnionego mocarstwa“ i zbyt mo-cno zsolidaryzowane z rachubami ugody warszawskiej. Z podejrzeniami temi nieomieszkaliby zresztą zwrócić się do Wiednia ukraińcy, którym uniewinnie-nie Bendasiuka, oczywiście, podobać się nie może.

Uniewinnienie to jest głośnem przypomnieniem i spopularyzowaniem faktu, że ustawy austriackie w zasadzie rozumieją tolerancję wyznaniową po euro-pejsku; że żadna propaganda religijna karze nie po-dlega; że wiara jest rzeczą sumienia, a nie policji. I prawosławie zatem propagować wolno.

Tak, niewątpliwie.

Ale zarówno akt oskarżenia wskazywał, jak i sam przebieg procesu stwierdził, iż w danym wy-padku owa propaganda była jeno pozorem, kryjącym zgoła inne tendencje — tendencje, z austriacko-pa-ństwowego punktu widzenia grzeszne, które można było chcieć widzieć, lub nie chcieć.

I tego właśnie, że ich przysięgli lwowscy doj-rzeć nie chcieli — mają nam rzekomo nie zapomnieć patronowie Bendasiuka.

Jest coś niepokojącego w tem oświadczeniu. Przyznanie nam tytułu spółników w jakiejś nader ciemnej robocie. Coś, jakby porozumiewawczy gwizdek zbira...

* * *

Lecz publicystyka warszawska zdaje się abso-lutnie w tem nie orjentować. Rozdekłamała się na temat „czystej sprawiedliwości“. Niektóre jej or-gany oczekują nawet rychłej nagrody, zapominając, że sprawiedliwość, naprawdę czysta, raz na sto lat nagrodę odbiera.

Czyż pociechą ma być dla nas to, że w danym wypadku o „czystości“ mówić może tylko udająca naiwność perfidja?

W procesie lwowskim starły się dwie orientacje. Zwyciężyła ta, której hołduje obecnie nacjonalizm polski, umiejący oddziaływać na nadpełtwiańskiego kołtuna.

Ot, cały sens wyroku.

Pozostaje tylko tajemnicą, na co liczyli faktyczni jego inspiratorowie. Najprawdopodobniej zamierzali oni przy jednym ogniu upiec dwie pieczenie poli-tyki „ogólno-narodowej“: osłabić nienawistnych ukraiń-ców przez sztuczne dodanie sił, a raczej tupetu, „moskalofilom“, a równocześnie ułagodzić nieco im-pet antypolski nacjonalizmu rosyjskiego.

Na wyniki tej misternej gry nie długo czekać nam wypadło.

W Wiedniu marka ukraińców tak się raptownie podniosła, że faktycznie oni dziś decydują, czy sejm lwowski w dawnym składzie ma być jeszcze zwołany, czy nie. Zdołali też znacznie posunąć naprzód sprawę uniwersytetu rusińskiego i otwarcia szeregu nowych szkół średnich. Prowadząc pertraktacje bezpośrednio z prezesem ministrów, otrzymują przyrzeczenia bez pot-zornego bodaj oglądania się na galicyjskie władze au-nomiczne; a równocześnie „moskalofile“ składają Austrii deklaracje wiernopoddańcze, byle ich tylko nie oddano na pożarcie ukraińcom, którzy—pewni swego niepodejrzanego stanowiska — sięgają po in-stytucje, dotąd wspólne, lub nawet wyłącznie przez „moskalofilów“ opanowane.

Tak wygląda pierwszy efekt „dyplomatycznego“ manewru: tak wygląda *ostabienie* i *rozbitcie* rusinów.

Drugim efektem jest mowa, wygłoszona przez hr. Bobryńskiego przy rozprawach nad interpelacją w kwestji sztyldów polskich. Hr. Bobrynski otwarcie powołał się tu na sprawę Bendasiuka i na konieczność „odwdzięczenia się“ narodowi polskiemu. Przypomniał on na wstępie, że zarówno ze względów historycz-nych, jak i etnograficznych kraj Północno-Zachodni jest ziemią rdzennie rosyjską; akcja więc przedstawi-cieli rządu winna być zwrócona do obrony sprawy rosyjskiej. Działalność ta jednak... (uwaga! tu się za-czynia owa wdzięczność)... winna się wyrażać w pracy twórczej, w podnoszeniu tego, co rosyjskie, a nie w drobiazgowych represjach w stosunku do ludności polskiej. Wobec tego, mówca, choć poważa gubernato-ra mińskiego, uważa w danym razie jego postępo-wanie za *błędne*. (Nie zaś *bezprawne*, jak to określa tekst interpelacji).

Sposób „popierania tego, co rosyjskie“ bliżej opisał nam inny, niemniej „wdzięczny“, głos p. Nie-kludowa. Ten, pamiętając także o Bendasiuku, oświadczył, iż jedynie przez podnoszenie i wzmacnia-nie kultury rosyjskiej i przez wysyłanie do Polski najlepszych przedstawicieli administracji rosyjskiej można się spodziewać, że Polska zleje się z Rosją“.

Ponieważ w sferach biurokratycznych nikt chyba nie wątpi, że dotąd byli i są wysyłani do nas naj-lepsi przedstawiciele administracji — ludzie, którym przecież pomniki stawiano — *ergo* „za Bendasiuka“ dawno już zostaliśmy nagrodzeni; przeciwnie nawet—to nie nam się należy wdzięczność za jego uniewinnie-

nie, ale raczej uważać trzeba wyrok sądu lwowskiego, za wyraz wdzięczności ze strony polskiej.

Mimo to wszystko, bliższa publicystyka nasza robi z rzeczoności procesu wielki ewenement, moment przełomowy w stosunkach polsko-rosyjskich.

Wester.

Z Warszawy.

Salon Wiosenny Artystów Warszawskich.

Towarzystwo Zachęty Sztuk pięknych urządziło drugą z kolei doroczną wystawę zbiorową artystów warszawskich pod nazwą: „Salonu Wiosennego”. Wyłącznym zgrupowaniem sił Warszawy różni się salon ten od „Salonu Jesiennego”, łączącego artystów polskich bez względu gdzie pracują, z jakiego środowiska prace swe nadsyłają. Obecna zatem wystawa umożliwia rozpatrzenia się w wytwórczości artystycznej Warszawy.

Powszechnem jest twierdzenie, iż Warszawa nie jest odpowiedniemi warunkami dla rozwoju sztuki. Istotnie, próżno chcielibyśmy temu przeczyć, próżno się ludzi: kilka wybitniejszych nazwisk nie jest w stanie obalić faktu, który się rzuca w oczy. Warszawa, poczynając od zewnętrznego wyglądu, od sposobu budowania się, rozrastania, charakteru ulic, placów — daje w sumie wrażenie pewnej elegancji, specjalnego szyku; lecz nigdzie prawie, z wyjątkiem nielicznych zakątków starego miasta, nie rozraduje oczu artysty.

Szablon panuje wszędy. Tutaj dusza artysty niema poprostu czem żyć. Jakże zatem może tworzyć, skąd czerpać, co brać w siebie, by w ogniu talentu własnego przetopić. Na czem się ma oprzeć? Czy na tych nielicznych poprzerabianych dziś koszarowo na instytucje rządowe, starych pałacach z epoki sasów, budowanych na modę europejską z zupełnym ignorowaniem ducha własnego danej chwili? Abo świątynie jej: ta bezładna mieszanina przeróżnych stylów, z których kilka zaledwie przedstawia harmonijną łączność linii, gdzie oko artysty z przyjemnością może się zatrzymać?

A gmachy publiczne? a wille i pałacyki prywatne? Czyż przegląd ich daje lepsze wyniki? A choćby i sam gmach Tow. Zachęty? Nawet Muzeum Miejskie, posiadające rzeczy pierwszorzędnej wartości artystycznej, nie ma dotąd własnej siedziby, zmuszone jest gnieździć się w ciasnym, zupełnie nieodpowiednim pod względem rozmieszczenia i światła, lokalu. Muzeum w tych warunkach z konieczności świeci pustkami, nie rozrasta się, nie rozwija, bo wobec braku miejsca, musi odmawiać przyjęcia niejednych pięknych i bogatych zbiorów prywatnych.

Szablon, tandeta na ulicach, w domach, w duszach, wszędy... Gdy powstaje jakieś pismo o bardziej artystycznych zakusach, upaść musi — tak, jak upadła jedyna w swoim rodzaju „Chimera”. Warszawa staje się coraz bardziej miastem brukowych świstków, banalnych kokot, tandetnego szychu kawiarń, przeróżnych „Udziałowych” i „Jacków”, a zalała tłumem napływowym (patrz statystykę), w niesłychanie szybkim tempie kosmopolityzuje się, zatracając wszelki charakter swoisty, na którym normalnie roz-

wijałaby się sztuka rodzima, czerpiąca ze źródeł rdzennej kultury, rozkwitającej z biegiem czasu.

Dodajmy do tego ciężkie, z każdym rokiem bardziej utrudnione warunki ekonomiczne, które każą ludziom nawet względnie zamożnym zaciskać pas, co tłumacząc mniej dosłownie znaczy zamykanie oczu i uszuna to, co nie jest chlebem powszednim, a więc i przede wszystkim na takie luksusy, jak literatura i sztuka. Dodajmy teraz brak opieki i poparcia sfer rządzących, którego nawet najhojniejsza inicjatywa prywatna zastąpić nie jest w stanie, a będziemy mieli główne przyczyny niemożliwości normalnego rozwoju u nas sztuki.

Z drugiej strony nienormalne warunki naszego szkolnictwa tudzież stosunki polityczne, spychające nas z placówek zwykłych pracowników na chleb powszedni, rzucając wielu niepowołanych w objęcia literatury i sztuki, jedynych wolnych i niezależnych (niestety tylko *de nomine*) profesji, wytwarzają na tem polu nadprodukcję, nie pozwalając równocześnie rzeczywistym talentom rozwinąć się w odpowiedniej mierze. Więc — gdy żydzi biorą nas kapitałem, gdy rosjanie, będąc w pomyślniejszych od nas warunkach, rozwijają się na każdym polu z niesłychaną produktywnością (patrz ilość wydawnictw literatury, rosyjskiej muzykę, śpiew, sztukę, balet) my — naród twórczy, o umyśle syntetycznym, rzutkim — grzęzniemy w dyletantyzmie, albo też szablonie raz zdobytej rutyny, jeśli ta ułatwia zbyt prac naszych, lub też stajemy w pół drogi, zniechęceni.

W literaturze, dziennikarstwie, sztuce — wytwarzamy legjony niezadowolonych, dyletantów, zwichniętych genjuszów, ludzi ze wszech miar nieszczęśliwych.

Jakże więc sztuka niema się czuć zbyt dużą w Warszawie, jeśli tutaj ni środowisko, ni społeczeństwo rozwijać się jej nie dają, potrzeby jej nie odczuwają? I czyż wobec tego może kogo dziwić, że „Salon Wiosenny” więcej wykazuje przysłowiowych dobrych chęci, niż rezultatów?

Naturalnie, pierwsze miejsce zajmują *arrivés*’rzy, indywidualności już sformułowane, określone. Pod ich skrzydłami z trudem wciskają się młodzi adeptci miejscowi, którzy z wyżej wspomnianych przyczyn dość słabe nieraz i chwiejne kroki stawiają. Czy kiedykolwiek zdobędą się na silniejsze, trudno dziś orzec, bowiem — jak już wskazaliśmy — nie od nich to częstokroć zależy. Gdzienigdzie, b. rzadko, spotykamy siły, które rozwijały się zagranicą, zdała od kraju, w większości w Paryżu; więc kontynuatorami sztuki rodzimej być nie mogą, a co za tem idzie i bliższego kontaktu ze społeczeństwem nie odnajdują.

Wśród indywidualności już zdefiniowanych, ukształtowanych widzimy tu prace: Badowskiego, Bagieńskiego, Gawińskiego, Janowskiego, Koźniewskiej, Lentza, Mordasewicza, Nałęcz, Popowskiego, Ryszkiewicza, Rapackiego, Piotrowskiego, Stankiewicza, Łańskiego, Trojanowskiego, Trzebińskiego, Wankiego, Wasilkowskiego. Prace ich stoją na wysokości zadania pod względem technicznym; z natury rzeczy jednak nie mogą nam dać nowych artystycznych przemyśleń. Paryż przebija w pracach dawnego ucznia szkoły warszawskiej, Borucińskiego. Jego „Blondynka” ma rysunek wytworny i całość dobrze szarmonizowaną. Poważny wysiłek widać w pracach Anny Berent — w barwach, w rysunku są tą rzeczą nieco twarde, lecz mają własny, silny charakter, widać w nich pewne *recherches*, a jednocześnie

wpływy szkoły monachijskiej. Coś z bajki, coś egzotycznego jest w „Strachu na dzieci“ Bigosińskiego, obok dużego poczucia światła. Binentalowa daje dobre studjum martwej natury, Borzym — pełnego charakteru „Druciarczyka“, Cieślowski — piękne studja z zabytków architektury Starego Miasta, Grombecki — b. staranną w rysunku i pełną wyrazu „Głową chłopca“. Ropczyńskiego zainteresowała architektura; jego zabytek średniowieczny zwraca uwagę i szczęśliwym wyborem tematu i wykonaniem. Krzyżanowski z wirtuozostwem oddaje portret pani W. Widać w tem swobodę, lekkość, a jednocześnie rozmach. Ciekawie ujęta, bowiem brana z pewnej wysokości, jest „Ziemia“ Lindemana; zupełnie udatne są w niej dalsze plany. Nałęcza — „Wisła“ jest znakiem studjum naszej królowej rzek: wielka przestrzeń wodna ma w sobie wiele charakteru. Dużo swojskiego wdzięku mają krajobrazy Noskowskiego; typ zaś pejzażu zimowego ze smakiem oddaje Ziomek oraz Straszkiwicz. Pewne poszukiwania, choć nieco powierzchowne, widać w studjach portretowych J. Bobińskiej-Brzezińskiej.

Rzeźba — jak zawsze — nieliczna; większych kompozycji niema tu zupełnie. Sporo portretów (Certowicz Tola, Głowiński, Jackowski, Jagmin, Karasińska, Petryna, Sokółowski, Sługocki, Wasiewicz, Zobczyński), jedyny akt kobiecy (Kiślańska), dalej widzimy Czarnowskiego „Z drogi“ — reminiscencje jego „Siłacza“ — rzecz mocna i dobrze skonstruowana, wreszcie oryginalną autokarykaturę Mazurka.

W dziale zdobniczym zwracają uwagę piękne wyroby wytłaczane w skórze, wyszłe z pracowni artystycznej Kowalskiej i Wyleżyńskiej.

Ostatecznie dorobek artystyczny nie jest tak mały, zwłaszcza jeśli zważymy niespółmierność wysiłku z warunkami, o których mówiliśmy wyżej.

Wacława Kiślańska.

Żyję!

*Żyję — bo kocham, bo czuję, bo cierpię!
Duch mój w cierpieniu źródło życia czerpie,
Duch mój w koronie bolesnej, cierniowej,
Pod jarzmem bólu nie pochyła głowy,
W męczarniach próżnych daremnej tęsknoty,
Co serce ludzkie na krzyżu rozpina,
Rąk mych nie łamie i kolan nie zgina,
Lecz dążyć każe z żądzą Wyzwolenia,
W świat Dobra, Piękną, Prawdy, Przebaczenia!*

*Żyję — bo cierpię! Jak płomień z ogniska,
Tak źródło życia z bólu mego tryska,
Sercu bić każe! Sokolemi loty
Skrzydeł w podniebne lecieć każe kraje
I nigdy, nigdy upaść mu nie daje
W bezdenną otchłań pustki i martwoty...*

W. Stanisławska.

Na marginesie.

Gdy przeczytałem w „Kurjerze“ o korespondencji p. Konstantego Bukowskiego z królem Gustawem II (*objaśnienie dla nie znających tego faktu historycznego*: p. K. B. telegraficznie powińszował urodzin, a Gustaw II również telegraficznie podziękował), musiałem rozpiąć marynarkę, taką pierś moja wezbrała dumą.

— A więc — pomyślałem sobie — zaczynają naprawdę rachować się z nami.

Bo przecież wątpliwości nie ulega, że gdyby jakiś hontentot ni stąd ni zowąd wyraził zadowolenie, że któremuś monarsze rok bliżej do śmierci — dostojny solenizant możeby się nawet o tem nie dowiedział. A tu król, i to nie byle jaki król — szwedzki król! — nietylko się dowiedział, ale z uciechy, że p. Bukowski o nim nie zapomina, kazał natychmiast wystylizować podziękowanie i dyżurnego szambelana pchnąć na telegraf.

Przyznaję: fakt ten uczynił na mnie potężne wrażenie. Oczywisty sukces polityki dworskiej, posługującej się okazjami i stosunkami osobistymi, raptownie podminował moją dotychczasową wiarę w metody demokratyczne. Faktycznie p. Bukowski nietylko dowiódł nam, że systemem, uprawianym przez t. zw. polityków realnych, można coś wskórać; p. Bukowski dał nam pierwszy, widoczny i realny tego systemu triumf.

Czego nie mogły wskórać setki nie delegowanych delegacji, deputacji, adresów; czego nie dokonały subtelnie i misternie dyplomatyczne konferencje, śniadania, obiady i kolacje z przeróżnymi podi nadkamerdynerami bożych pomazańców, osiągnął niespodzianie jeden człowiek i to prawie przypadkiem, ot tak, od niechcenia. Dziś nie śmie nikt twierdzić, że głowy koronowane nie chcą o nas nic wiedzieć. Jest bowiem jedna taka głowa, która jawnie okazała, że się z nami rachuje.

— Ha — myślę sobie — gdybym był p. Piltzem, Kosiakiewiczem, a choćby tylko p. W. B-skim, wyobrażam sobie, jaki bym kropnął artykuł. Prostu zmiażdżyłbym wszystkich przeciwników realizmu. Żartowaliście — pisałbym — z naszych metod? A otóż patrzcie! Widzicie? Wy, frazesowicze, demagogi, wy...

Słowem, już bym to jakoś ułożył. Okazja bajeczna — pierwsza, zdaje się, od niepamiętnych czasów.

* * *

Przez kilka dni z pewnem zaniepokojeniem przeglądałem „Kraj“ i pokrewne mu organy.

Spodziewałem się artykułów na tematy: „Polak na dworze szwedzkim“, „Szwecja wobec Polski“, „Gustaw Adolf, a Gustaw II“, lub coś w tym rodzaju.

Daremnie jednak.

Fakt przemilczano.

Wielce tem zdziwiony, zainterpelowałem pewnego wybitnie realnego dyplomata, który nawet dwa razy już jednogłośnie wybierany był na członka Rady Państwa (nie posłował, bo jeden głos — a i to własny — nie wystarcza).

Gdy usłyszał pytanie: czemu prasa zignorowała tryumf p. Bukowskiego — oblicze jego oblekła chmurna powaga. Chwilę milczał, a wreszcie odezwał się prawie szeptem:

— Niepotrzebnie „Kur. Lit.“ o tem wspominał. W obecnej chwili wcale to nie było wskazane.

Słuchałem w skupieniu i z szacunkiem, ale nie mogąc zrozumieć, o co chodzi, ośmieliłem się spytać:

— Dlaczego?

— Widzisz pan—odpowiedział—zręczny polityk musi wiedzieć, kiedy jaki krok uczynić; sukcesy nawet, osiągnięte w niewłaściwej chwili, mogą być szkodliwe.

— A czy chwila obecna...

— W chwili obecnej—przerwał mi—Gustaw II dopiero co wrócił z Konopiszta, a pozatem... hm... Finlandja...

— Czy pan to rozumie? — dodał, nadzwyczaj znacząco mrużąc lewe oko.

— Zatem panowie lękacie się, by...

— Cóż... — uczynił ruch, jakby mi chciał usta zamknąć.

Zrozumiałem.

Ale żegnając wytrawnego naszego polityka, nie chcąc pomyśleć: Biedni ludzie. Gdy nareszcie metoda ich jakiś skutek odniosła, to akurat właśnie...

Doprawdy, pech.

Behra.

Listy do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze!

W № 282 „Myśli Niepodległej“ p. Andrzej Niemojewski zamieścił notatkę, dotyczącą mojej osoby, jako korespondenta „Przeglądu Wileńskiego“.

Nie reagowałbym wcale na ten wybrk człowieka niepoczytalnego, a nie uznającego przytem elementarnych zasad etyki prasowej, gdyby nie wyraźne kłamstwo, zawarte w rzeczownej notatce, jakoby bezimiennie rozsiewał plotki o p. Niemojewskim.

Primo: faktem jest, że p. Niemojewskiego widziano na ulicy z niebieskim kwiatkiem, sprzedawanym na rosyjski fundusz szkolny. Temu zresztą i p. Niemojewski nie przeczy; wiadomość więc powyższa „plotką“ nazwana być nie może.

Secundo: korespondencję inkryminowaną do „Przeglądu Wileńskiego“, jak wszystkie niemal swe artykuły, podpisałem literami L. A., więc mowy być nie mogło o żadnym chowaniu się. P. Niemojewski jednak świadomie mija się z prawdą, głosząc, iż wydawca „Przeglądu Wil.“, p. W. Abramowicz, „tym razem liter brata L. A. nie zamieścił, aby „trudniej było zgadnąć“.

Tertio: korespondencji do „Nowej Reformy“ nie wysyłałem i na tym punkcie zdolności agenta śledczego p. Niemojewskiego zawiody najzupełniej.

Poza oczywiście fałszami, notatka „Myśli Niepodległej“ zawiera stylowe wymysły, budzące już tylko litość dla tego biednego człowieka.

Proszę przyjąć etc.

Ludwik Abramowicz.

Warszawa 22/VI 1914 r.

Z salonu Rychlinga.

II.

Jakby na okrasę, salon Rychlinga zaopatrzył się w kilka dzieł naszych uznanych i zasłużonych na polu sztuki artystów.

Któż dziś *Fałata* nie zna? Dziecko odróżni go wśród wielu innych dzieł nagromadzonych. Artysta

dużej miary, wirtuoz swego rodzaju, najpoważniejszy i pierwszy polski akwarelista, cieszący się uznaniem nie tylko w kraju, *Fałat* wywalczył prawo obywatelstwa akwareli.—Techniką przewyższa wielu akwarelistów angielskich, uchodzących za mistrzów tego *genre'u*. Mnóstwo prac *Fałata* zdobiło wystawy ostatniego lat dziesiątka. Prace to zdumiewające świeżością koloru, brawurą techniki, prostotą tematu.

Jest to jeden z artystów, ratujących poza granicami kraju sławę sztuki polskiej.

Bawiąca w Wilnie wystawa posiada jeden obraz *Fałata*: „Kwitnące drzewa“. Rzecz to słabsza od innych, ale posiadająca dużo zalet technicznych, cennych dla specjalisty. *J. Fałat* jest u schyłku swojej twórczości.

Potęga rysunku, precyzyjność efektów plenerowych, plastyka do złudzenia, świeżość koloru, zawilść tematu i orgje skrótów — wszystko to charakteryzuje *Malczewskiego*. *Malczewski* dotychczas jest dla wielu zagadką. Dziwne tematy dzieł jego zmuszają w każdym razie widza do myślenia. Zdarza się jednak, że tyle jest odpowiedzi, ilu zgadujących. By skryzlować pojęcie o nader ciekawej organizacji artystycznej *Malczewskiego*, ramy sprawozdania niniejszego są za ciasne.

To, co widzimy na wystawie, o tej indywidualności mówi b. mało.

„Zapóźno“—rzecz w całości nie dociągnięta do zwykłych norm artysty, ale rysowana po mistrzowsku. Począwszy od koloru, *Malczewski* zadaje tu sobie wiele pracy, nad rozwiązaniem dalszych łamigłówek, skrótów rysunkowych.

F. Żmurko — malarz wielce popularny, dostępny i międzynarodowy. Stałym tematem jego była kobieta—kobieta zawsze rozpasana, zmysłowa w pełnym rozkwicie ciała.

Żmurko rozumiał i czuł kobietę.

O technice twórczości jego powiedzieć można, że była śmiała, że władał rysunkiem i że manjera nie opuszczała go do ostatniej chwili. Koloru ciała ludzkiego *Żmurko* nigdy nie odczuwał. Przez świat artystyczny był mało ceniony, a po śmierci o pracach jego każdy prawie znawca sztuki mówi z pewnym lekceważeniem. Nie dowodzi to jednak, aby *Żmurko* był słabym malarzem. Jest to jedynie skutek tego, że artysta zmanierował się na wydobywaniu tanich efektów, schlebając gustom popularnym. Główni jego są bardzo ładne i szalenie nudne. Łatwo było przekonać się o tem, na jego wystawie zbiorowej, pośmiertnej.

Na obecnej wystawie mamy jedną z próbek twórczości *Żmurki*: szkic do „Grzechu“.

Praca ta należy do słabszych.

Potężny talent, błyskotliwy, różnorodny, zawsze młody, zawsze przetrawiony w sobie... Wszystko, co na zachodzie sztuka zdziałała, przesunęło się przez serce i myśl *Wyczółkowskiego*, wszystko to znalazło właściwe dla jego indywidualności zastosowanie.

Mimo podeszły wiek artysty, jedyny jego talent bije wprost z przebijająco silnych tonacji barw. Jego „Kaczeńce“, obecnie u nas wystawione, dają w całej pełni wyraz twórczości *Wyczółkowskiego*. Doskonale rysowane, cudnie barwne, pełne blasku i refleksów.

Wyczółkowski jest typowym przedstawicielem nonszalacji i brawury. Zna jednak miarę i wie kiedy folgę ukrócić należy. Jest on zawsze sobą, ale to nie znaczy by miał jakąś własną, indywidualną manjerę. Przeciwnie: manjery żadnej tu nie spostrzega-

my. Wyczółkowski jest dziś w pełni rozkwitu twórczości, a jako organizacja nadzwyczaj silna oryginalna, wywiera na nasz świat artystyczny podobny wpływ, jak Jan Stanisławski. Obaj oni stworzyli szkoły, a — co za tem idzie i czego im za złe brać nie można — bezwiednie dali początek manjerze. Zwykła to kolej rzeczy: artyści manjerze sami niedostępni, bywają naśladowani przez talenty mniejsze, które nie potrafią wpływać ich odpowiednio i z korzyścią dla siebie użytkować, lecz pozostają słabymi epigonami mistrzów swoich.

Obok „Kaczeńców“ widzimy doskonały rysunek Wyczółkowskiego, kreślony śmiało z dużą werwą.

Stanisław Lentz — to jeden z najlepszych portrecistów naszych, stojący tuż obok *Olgi Boznańskiej* i *Horowitza*.

Malarz poważny, wczuwający się w duszę każdej portretowanej osoby. Chwilami brudny w kolorze, ale wynagradza to tonem, wyrazem i rysunkiem. Obecny szkic: „Frenkiel w roli świętoszka“, zgoła nie daje pojęcia o twórczości Lentza; przeciwnie nawet: wyrobieniu sobie tego pojęcia przeszkadza.

Karol Wierusz-Kowalski reprezentowany jest przez obraz: „Polowanie par force“, który najzupełniej charakteryzuje twórczość tego artysty.

Należy on do szkoły starej, dziś nie mającej autorytetu u prawdziwych amatorów sztuki. W sferach młodszej generacji artystów naszych *Karol Wierusz-Kowalski* jest zaledwie tolerowany, ale nie słusznie. Bo w rzeczywistości można się wiele nauczyć z prac jego, zwłaszcza zaś z rysunku.

W ogólnym jego dorobku przeważa suchy konwenans.

Do tej samej kategorii należy i *Alfred Wierusz-Kowalski*, artysta o utartym pojęciu o malarstwie i jego zadaniach.

Wystawiona „Zagroda“ jest poprawna, dobra nawet, o ile stosować do niej wymagania z przed lat trzydziestu.

Wojciech Kossak znany, rozgłośny dziś malarz koni, batalista. Ale jego „Kirasjer na koniu“ nie daje pojęcia o talencie autora, o pracach, pełnych sentymentu i charakteru czysto polskiego. Z malarzy dzisiejszych *Kossak* jest bez wątpienia najwięcej polskim.

Dzieła *Teodora Aksentowicza* reprezentują tu obrazy: „Z jabłkami“. „Cud“, „Główka“ — ale... w reprodukcjach, które nie dają najmniejszego wyobrażenia o bajecznej miękości i subtelności prac tego malarza.

Z drobiazgu, który reprezentować ma na obecnej wystawie, twórczość *Jana Stanisławskiego*, wilenianin nie może wyrobić sobie żadnego pojęcia o tym wielkim pejzażyście. Ten *Stanisławski* zgoła nie jest tym, jakim go widywaliśmy w innych salonach. Nie jest to precyzyjnie rzucona na skrawek tektury notatka, pełna prawdy, soczystości, nastroju, subtelności kolorytu i poezji, które tak cechowały twórczość przedwcześnie zgasłego mistrza.

Olga Boznańska — to kobieta o zadziwiająco męskim temperamentem i sile. Technika dziwnie chybota, pełna wibracji; miękość kolorytu posunięta do przesady; ton przedziwny. Rysunek sumiennie prowadzony w najdrobniejszym szczególe. Ani kobiecego rozdrobnienia się, ani wpadania w manjerę. W wykonywaniu nawet drobiazgów widoczne dążenie do syntetycznego ujęcia każdego wrażenia. Mówię to wogóle o pracach tej zasłużonej artystki, a zwłaszcza o portretach, które są niezrównane, a na dorocznych

salonach paryskich stanowią atrakcję dla miłośników sztuki. O pracy, wystawionej na obecnej wystawie, wszystkiego tego powiedzieć nie mogę. Trudno! Pejzażystką *Boznańska* jest słabszą.

„Widok z mojego okna“ jest rzeczą chybioną, dobrą dla akademika, ale nie dla p. *Boznańskiej*.

Naturą wysoce niespokojną, pokrewną duchem *Boznańskiej*, lecz o większym napięciu siły męskiej i o mocnej, zdecydowanej formie, jest *Zofja Stankiewiczówna*. Wyplętała ona na widownię artystyczną lat temu piętnaście z górą. Jedną z pierwszych jej prac była „Grusza“, wystawiona w dorocznym salonie jesiennym w Warszawie — rzecz, owiana głębokim odczuciem natury.

Od tego czasu duch twórczy *Stankiewiczówny* szarpał się w różnych kierunkach. Widzimy ją, malującą olejno wielkie płótna; przerzuca się do akwareli, pastel, gwaszów. Trzy lata temu wystawiała w Zachęcie prace węglowe. Obecnie zaś poświęca się wyłącznie akwafortom i jako akwafortistka w roku zeszłym zdobyła pierwszą nagrodę na konkursie H. Grohmana. Dziś jest jedną z najlepszych sił, u nas pracujących na tem polu, równorzędna ze *Skoczylasem*, *Rubczakiem* i *Skotnickim*.

Wystawiła prace mieszane — „Szeroki Dunaj w Warszawie“, „Plac zamkowy“, „Wieś polska“, „Matka“ i w. in.

Marjan Wawrzeniecki, „uczeń *Matejki*“, pierwszy pionier „pointilizmu“ w Polsce, mimo ciskania nań błotem krytyki naszej, mimo ciężkich warunków materialnych i moralnych, wierny pozostał swej idei. Artysty tego większość nie rozumie, lub nie chce rozumieć; krytyka odnosi się doń sceptycznie, a świat artystyczny uśmiecha się pobłażliwie. Powód daje ta okoliczność, że „uczeń *Matejki*“ nie nauczył się rysować i zmanierował się na swym pointilizmie. Tworzy rzeczy, zaczerpnięte z średniowiecza, przesadnie barokizując i przejawiając postacie. Ale mimo te wszystkie wady, prace jego nie pozbawione są zalet artystycznych. Są bardzo dekoracyjne i nie bezmyślne, choć co prawda trochę zbyt literackie. „On i Ona“, „Samosąd nad czarownicami“ są wybitnie charakterystycznymi pracami tego artysty.

Antoni Gawwiński ma wiele wspólnego z *M. Wawrzenieckim*. Natura subtelna, mięka, wielce wrażliwa, tonąca w mistycyzmie i bajkowości. Malarz to, który bodaj ani jednego obrazka z natury nie zrobił, a widzi ją przez pryzmat swej duszy, dziwnie barwną, jaskrawą, i nigdy naszą: zawsze obcą, słoneczną z głębokim lazuram nieba włoskiego. Jest jedynym u nas pre-rafaelitą obok *Vlastimila Hofmana*, ale z tą samą wadą, którą ma *Wawrzeniecki*: nie umie rysować. Barw i formy zapożycza z włoskiego *Quattro-Centa*, od malarzy angielskich współczesnych, zwłaszcza u *Buerne-Jonesa*. „Koło wrózek“ i „Souvenir“ są próbkami jego sympatycznej twórczości.

E. Pietkiewicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

P. Choynowski: „Ruchome piaski“ (sztuka w 3 aktach) nakładem „Książki“ w Krakowie

P. Piotr Choynowski należy do wybitniejszych z naszych młodych powieściopisarzy. Z zajęciem też, choć nie bez wątpliwości, bierzemy do ręki jego dra-

mat. Tak bowiem trudno wykorzenić przesąd, że nie wystarcza przetransponować temat powieściowy na dialogi i monologi, podzielone na kilka aktów, aby dramat otrzymał. Utwór ostatni p. Choynowskiego nie zmienił naszych uprzedzeń do powieściopisarzy, przerażających się w dziedzinie teatru. Warto wszakże przypatrzeć się sztuce zbliżka. Uważam ją wprowadzić za błąd p. Choynowskiego, lecz błędy talentu bardziej są ciekawe i pouczające, niż poprawność miernoty.

A więc p. Wróblewska, córka nieodrodna szlachty lekkomyślnej, za wszelką cenę chce ocalić istnienie pensjonatu, który się nie rentuje, w imię zachowania pozorów dobrego tonu i niezależności towarzyskiej. Straszą córkę, Jadwigę, wydaje za obywatela, którego ona nie kocha i porzuca; wymusza później na niej, aby, zrzekłszy się miłości do rzeźbiarza Porębskiego, wyszła po rozwodzie za bogatego mecenasa, dla podtrzymania rodziny. W końcu sytuacja finansowa staje się krytyczną. Mecenasa szuka przygody, a nie małżeństwa i rodzina popycha Jadwigę w jego objęcia, już w roli kochanki, za 10,000 rubli, płatnych po dwu latach.

Dramat, szkicujący dokładnie tło akcji i pewne charaktery, zamyka los Jadwigi, smutny bezspecznie i tragiczny. W rzeczywistości jednak tragizm ten cały jest złudą. Wszystko od początku do końca polega na nieporozumieniu. Jadwiga jest ofiarą przeciętności własnej i niedołęstwa, jest owcą ślamazarną, o bładych odruchach uczuć, niby indywidualnych. Również do fikcji należy obraz tragiczny rodziny zanurzającej się nieubłaganie, a zwolna w groźne piaski ruchome życia codziennego.

Zważmy: Jadwiga daje lekcje; druga córka jest zaręczona, syn nicpoń, ale ma posadę; długi są niewielkie i spowodowane pensjonatem, który się nie opłaca. Wyjście najprostsze — pozbyć się pensjonatu. Nie! P. Wróblewska woli zaprzepaścić wszystko, byle przy pensjonacie się utrzymać. I ten „pensjonat“ staje się tragiczną osią sztuki. Dla niego wydano Jadwigę zamąż; dla niego wyrzeka się ona miłości; dla niego decyduje się wyjść za mecenasa, dla niego wreszcie — „lfigienja“ nowożytna — rzuca się z rozpaczą w objęcia lubieżne tegoż mecenasa... Wszystko się obraca dokoła przypadku i to nazbyt drobnego, aby mógł uzasadnić konieczność rozwoju dramatu. Treść idejowa, problem psychologiczny, przedstawiają się nikle, zaczątkowo. Zagadnienie sztuki sprowadza się w zasadzie do ujęcia treści przemyślań i przeżyć w formę skończoną, jedyną. P. Choynowski zaś epizod nowelistyczny, zarysowany jako taki w jego jaźni, koniecznie chciał przetransponować na dramat. W ten sposób rozbił i zniweczył formę utworu prawdziwą, szukając dla niego po omacku formy z góry przesadzonej, a w danem ujęciu sztucznej. Stronę opisową noweli i szczegóły drugorzędne podał w opisie tła lub zdalogował; akcję wyrubował i podzielił na trzy akty. W rezultacie, charakterystyki osób, które w oświetleniu powieściowym rozwinęłyby się wyraźnie i mocno, w dramacie składają się z kilku ostrych rysów i plam, nie szarmonizowanych, rudymenarnych. Tło i materialna część akcji są za dokładne, za obfite, całość rozprasza się zacierem. Psychika postaci i koncepcja dramatyczna tematu, jako problemu, poszły na plan dalszy; za to rozpanoszyła się niepomiernie ekspozycja naturalistyczna.

Raz jeszcze naturalizm okazał swoją słabość. Zwłaszcza w dziedzinie dramatu posługiwanie się tą

metodą, nigdy pomyślnych wyników nie dało. Dramat w tym wypadku, zamiast życie ujmować w kształt własny, jako reprezentacja życia równorzędna i samodzielna, staje się ilustracją podrzędną grupy szczegółów, dowolnie i luźnie zebranych. „Ruchome piaski“ doprowadzają czytelnika wprost do pasji. Jak można odosobnioną historję wyjątkowego niedołęstwa rozszerzać nieomal w „tragiedję“ ogólną walki ludzi przeciętnych z życiem?! Nieprzebrana głupota i mazgajstwo sentymentalne bohaterów „sztuki“ dobre były do komedji, farsy. Traktując ich poważnie, jako ofiary niewinne fatalności okrutnej, autor chybił stanowczo.

A przecież w każdym prawie ustępie brzmi echa szczerego, dużego talentu. Czemu, ach czemu „Ruchome piaski“ nie są powieścią?!

Edward Woroniecki.

PRASA POLSKA.

Wice-organ ugody, „Dziennik Polski“, obsługujący czytelników zawieszonoego „Kurjera Polskiego“, oszołomiony uchwałą Rady Państwa, obalającą samorząd miejski w Królestwie, na cwile wypadł z roli i pozwolił sobie na kilka słów, nie licujących z jego stanowiskiem.

„Po odrzuceniu samorządu — powiada — odarnęło nas rzeczywście prawdziwe zniechęcenie — rozpacz. Ale nie była to wcale rozpacz o naród, nie! Ujrzeliśmy natomiast katastrofę naszego programu, naszych wierzeń i nadziei politycznych.

Dążeniem naszym było pozyskać wewnątrz państwa rosyjskiego lepsze warunki życia, i z ich pomocą budować świetniejszą, szczęśliwszą przyszłość dla narodu polskiego. W tym celu odwodziliśmy rodaków od spisków, tłumaczyliśmy im niedorzeczność szukania pomocy obcych, gdyż oni w naszej obronie nie wystąpią. Jednocześnie zaś szukaliśmy porozumienia z rządem i narodem rosyjskim, przekonywając, że w interesie państwa leży pozyskanie życzliwości polaków, a osiągnąć to można tylko przez danie nam swobody rozwoju narodowego i kulturalnego.

Spoleczeństwo polskie wywody nasze podzieliło, natomiast zbankrutowała zupełnie druga część naszego programu, przeznaczona dla rosjan. Odrzucenie samorządu to znak, iż na żadną zmianę pomyślną w ustroju państwowym liczyć nam nie wolno.

A wobec tego w grzy się rozsypuje praca nasza, i w takiej chwili trudno nie załamać rozpacznie rąk“.

Stwierdzenie „katastrofy programu“ ugodowego uznał „Kraj“ (pielegnujący tradycje zawieszonoego „Słowa“) za akt niepolityczny. Stara się więc naprawić wybryk swego zbyt impulsywnego *enfant terrible* i pisze:

„Przeciwko tym, uczuciowo najzupelniej zrozumiałym, ale politycznie całkiem nieuzasadnionym wywodom musimy jaknajmocniej, jaknajbardziej stanowczo protestować.

Uchwała Rady państwa nie podważyła podstaw naszego programu. Takich jaskrawych określeń, jak katastrofa programu, jak bankructwo wierzeń i nadziei, nie należy w naszym położeniu używać, choćby się na to liczyło, że w stosunku do opinji rosyjskiej przyniesie pożytek, co do czego mamy poważne wątpliwości. Niema żadnej katastrofy programowej, żadnego bankructwa, nic się nie rozsypało w grzy...“

„Kraj“ najwidoczniej wyobraża sobie, że czytują go tylko ludzie, dla których prawdą jest wszystko, co „stoi napisane“; że wystarczy by ogłosił, iż wybuchem Etny zniszczona Katanja wcale się w gru-

zy nie rozsyłała — a ogół przyjmie to do wiadomości z wiarą dziecięcą. Niestety, błogie te czasy minęły. Dziś nawet prenumerator „Kraju“ lubi od czasu do czasu porobić też i własną głową, sprawdzić informacje. Kredyt „przewodników opinii“ został znacznie ograniczony, a wobec tego i publicysta, zbyt dowolnie igrający z logiką łącno może utracić resztki autorytetu i spaść do rzędu jednostek... *ograniczonych*.

Nic też dziwnego, że ów pan z „Kraju“, co nie dostrzega ruiny programu ugodowego nietylko nie zaimponował „Dziennikowi Polskiemu“, ale przyczynił się jedynie do rozwałkowania sprawy.

„Więc nic niema się zmienić w naszej polityce? — replikuje „Dziennik Polski“, — Nie będziemy wcale reagować na poniesioną klęskę? Ciekawą jest rzeczą, jak na to zapatruje się Narodowa Demokracja, która łącznie z Realistami zadecyduje o stanowisku, jakie ma zając nasze przedstawicielstwo, składające się z członków tych dwu stronnictw“.

Pocziwie naiwny „Dziennik“ odwołuje się więc do Nar. Demokracji, w mniemaniu, że może ona zdobyć się na jakiś krok męski, na stanowcze porzucenie wertepów ugody, wiodących niewiadomo dokąd.

Próżna nadzieja!

Narodowa Demokracja, jako stronnictwo bezprogramowe, kwestji programu wcale nie tyka, zatem i upadku jego opłakiwać nie może. Nar. demokraci, bolejąc wyłącznie nad pogrzebaniem „samorządu“, starają się odwrócić uwagę od skuteczności swych praktyk politycznych. W tym celu — jak pisze „Goniec Poranny“ — „z gorliwością detektywów węszą i śledzą, kto płacze, a kto klęskę przyjął obojętnie lub nawet się cieszy“.

Naturalnie, cieszą się głównie, zdaniem ich, żydzi, masoni, skąd prosty wniosek, że żydzi, masoni i jeszcze niemcy w tem tójprzymierzu wrogiem spowodowali upadek samorządu, ich narzędziami była większość Rady państwa.

To oni, albo jakieś ciemne, tajemnicze siły obaliły samorząd.

Sprawa to tak tajemnicza, jak intrygi, które wywołały rewolucję albańską, i równie zagadkowo się przedstawia jej rozwiązanie dla tych, co wierzą w romantyzm ugodowy.

Ostrzegają nas wciąż przed romantyzmem w polityce, okazuje się, że słusznie. Wszelkie flirty międzynarodowe są zawodne i zdradne, zwłaszcza, jeśli je niezdarne prowadzić. Oddawna też mieliśmy romantyków ugodowych za szkodliwych utopistów“.

GŁOSY ROSYJSKIE.

Opiekuńczy duet.

Groteskowa epopeja „samorządu polskiego“, której przebieg wyniósł osławionego Aleksiejewa, ku własnemu jego zdumieniu — na stanowisko bojownika skrawiedliwości, zakończyła się zupełnie stylowo. Otóż — przeciw uchwale Rady Państwa wystąpili, w roli obrońców naszych, pp. Mienszikow i ks. Mieszczerskij.

Pierwszy z nich, zaznaczwszy na wstępie, że jego zdaniem, „w danym wypadku rząd i Duma, domagający się dopuszczenia języka polskiego w przyszłych radach miejskich w Polsce, miały za sobą nie tylko więcej sprawiedliwości, lecz również zrozumie-

nia państwowego“, oraz że „sam podziela w danym wypadku zdanie rządu i Dumy“, tak dalej pisze:

„Dlaczego nie możemy dać Polsce tego, co zezwoliliśmy Finlandji lub Bucharze? Powiecie mi, że popełniliśmy szereg zgubnych pomyłek w Finlandji i gdybyśmy w swoim czasie nie dali Finlandji autonomji, to Finlandja w ciągu stulecia zupełnie byłaby się zrusyfikowała. Nie wiem, czy tak by było. Kraj nadbałtycki bez konstytucji finlandzkiej nie zrusyfikował się w ciągu 200 lat i tak samo marzy o oderwaniu się, jak i Finlandja. Jeżeli jednak ani w Finlandji, ani w kraju Nadbałtyckim, ani też w Bucharze nie było ani jednego buntu, to być może dlatego, że na kresach tych zachowano zasadnicze prawa ich narodowości: wiarę, język, zwyczaje i samorząd. Dzięki temu mieszkańcy tych dzielnic czuli się w Rosji, jak u siebie w domu i do ostatnich czasów niezbyt wrogo odnosili się do Cesarstwa. Co się tyczy szlachty nadbałtyckiej, uważała się nawet za najbardziej pewną podporę tronu rosyjskiego. Nie będziemy sobie robili iluzji co do przyjaźni polskiej, lecz należy zwrócić uwagę na to, że polityka austriacka w Polsce austriackiej zdołała rozbroić serca polaków, lecz nawet zrobić z nich chorążych monarchji Habsburgów. Niesłusznie mniemamy, że u nas rządzą inne prawa psychologii. Powiecie mi: a pruska polityka w Poznańskim? I ja zapytam was: cóż dała ta osławiona polityka? Jeżeli wierzyć można niemieckim danym, doprowadziła ona jedynie do konfuzji. Nie należy przytem zapominać, że u nas jest sześć, czy siedem razy więcej polaków niż w Prusach.“

„Mnóstwo działaczy słowiańskich — a w tej liczbie pp. Kramarz i Szebeko — twierdzą, że Rosja nigdy nie pozyska powagi moralnej w świecie słowiańskim, dopóki nie załatwi na zasadach sprawiedliwości swego sporu z Polską! Zupełnie zgadzam się z tem. Czyż może być jakakolwiek solidarność słowiańska, zjednoczenie, pomoc wzajemna, dopóki słowiaństwo na terenie Polski ma, że tak powiem, „pole doświadczalne“ rosyjskiej kultury państwowej? Taki drobny fakt, jak odmówienia Polsce prawa do języka ojczystego nawet w kwestjach samorządu gospodarczego spotyka się ze zgodnym potępieniem u Czechów, Słowenów, Chorwatów, oraz wśród niezależnych Słowian. Nie można żyć psychologią XVIII wieku, gdy świadomość narodowa jeszcze drzemała. Obecnie przebudziły się narody i żądają sprawiedliwości i swobody. — Nie należy lekceważyć przyjaźni drobnych plemion oraz, że przyjaźń tę można zdobyć jedynie sprawiedliwością i lojalnością, dowodzi historia lat ostatnich.“

„Polityka pojednawcza w Polsce, gdzie potrzebne są realne dowody panowania narodowości polskiej, mogłaby być olbrzymim ciosem dla intrygi austriackiej, która przecież nie jest tak dyskretna, aby Rosja mogła jej nie zauważyć. Austrosławizm, który gorąco popiera przyszły władca monarchji naddunajskiej, jest to dążenie do stworzenia monarchji słowiańskiej poza Rosją i na gruzach jej. Na zasadach federacji do związku słowiańskiego mają być przyciągnięci nie tylko południowo-bałkańscy Słowianie, lecz i rosyjska Polska i Małoruś. Nie wiem, jak daleko idą projekty młodego Habsburga, lecz należy sądzić, że są rozległe. A nasze czasy mają to do siebie, że nieziszczalne marzenia urzeczywistniają się, jeżeli się wytrwale nad nimi pracuje. Nad oderwaniem Polski i Małorusi pracują potężne siły“.

Ten nagły paroksyzm polonofilstwa mieńszkowskiego zaopatrzyła przecież redakcja „Now. Wrem.“

w dopisek, który efekt artykułu mocno osłabia. Jak sądzą niektórzy, autorem dopisku owego jest sam p. Mienszykow, znany ze zdolności patrzenia na każdą sprawę z wręcz przeciwnych punktów widzenia.

Wystąpienie „Grażdanina“ jest bardziej stanowcze. Ks. Mieszczerskij przeczy, jakoby obalenie samorządu było dziełem prawicy.

„Nie jest to słuszne — powiada. Tryumf odniósł tu duch Hurki, który, „zwyciężywszy rząd, zemścił się za to, że przed kilku laty zmuszono go do ustąpienia ze sfer rządowych; zadając cios polakom zemścił się za to, że w całym kraju Nadwiślańskim i w Warszawie uważano go za czarny cień, padający na czyste i jasne oblicze sławnego jego ojca“.

Okazuje się więc, że „krajowi Nadwiślańskiemu“ obok posła Aleksiejewa przybył niespodzianie jeszcze jeden patron — „sławnej pamięci“ ojciec posła Hurki.

Dalej występuje książę redaktor przeciw nacjonalistom, których uważa za gorszych wrogów władzy Cesarzkiej, od rewolucjonistów i całej lewicy, gdyż otrzymując od niej stanowiska i honory, odpłacają jej tem, że...

„podśpiewując hymn i mówiąc o wypełnianiu obowiązku, idą — jak dziś — przeciwko projektowi rządu Monarchy, aby dać możność całemu narodowi w całym kraju przemawiać w radach miejskich w języku ojczystym, a robią to dlatego, by w czasie spokojnym rozbudzić niechęć milionów ludzi i za wszelką cenę przeszkodzić im błogosławić z wdzięcznością swego Monarchę za to, że zwrócił ku nim swą troskę“.

Wobec głosów powyższych, śmiało westchnąć można: strzeż nas, Boże, od przyjaciół...

Na widnokręgu.

Dyplomacja europejska, która, po londyńskiej konferencji ambasadorów, doprowadziła do zawarcia traktatu bukareszteńskiego, nieudolnie wywiązała się z zadania, skoro już dzisiaj pękają niemal wszystkie szwy owej łataniny. Wprawdzie cicho dotąd siedzą Serbia i Czarnogórze, t. j. państewka, nahałańsze i najkrąbniejsze w okresie drugiej wojny bałkańskiej; ale za to wszystkie inne kraje półwyspu na nowo ogarnia wrzenie. Antagonizm rumuńsko-bułgarski, wywołany tryumfami mołdawiańskiej przebiegłości nad bułgarskim męstwem, choć dotąd haśliwych nie wywołuje grzmotów, jest tu niewątpliwie głównym zbiornikiem lawy, powodującej falowanie gruntu.

Poufne szeptu Sofji z Konstantynopolem dodają temu ostatniemu pewności siebie w traktowaniu pretensji polityków ateńskich. Zatarę turecko-grecki zaostrza się z dniem każdym i chwilami zapowiadać się zdaje rychły wybuch trzeciej wojny bałkańskiej. Gdy zważymy, że Grecja ma też porachunki z nowotworem albańskim i że to ona właściwie dała pierwszą powód do zachwiania się tronu ks. Wieda, dostrzeżemy ściśle związane łańcuch komplikacji.

Gdzie zaś istnieje łączność zjawisk pozornie odosobnionych, łatwo domyśleć się zakulisowej reżyserji. To też motorów bałkańskiego wrzenia poza Bałkanami przedewszystkiem szukać należy, mianowicie w walce o wpływy Wiednia z Petersburgiem, a niezależnie od tego — Wiednia z Rzymem.

Obawiając się dopuszczenia serbów do Adriatyki i wzmocnienia dwu państw serbskich, polityka austriacka roznieciła z jednej strony apetyty bułgarskie, z drugiej zaś pod protekcją swą wzięła w załączku ledwo istniejące ambicje narodowe i państwowe albańczyków. Ponieważ i Włochom zależało na przeszkodzeniu Serbji dotarcia do morza, powiodło się więc Wiedniowi skłonić Rzym do spółdziałania w usamodzielnieniu Albanji.

Lecz w kombinacjach tych politycy austriaccy nie wszystkie możliwe przewidzieli ewentalności i nie wszystkie czynniki wzięli w rachubę. Przedewszystkiem zapomnieli, że zbytne wzmocnienie Bułgarji i przyznanie jej hegiemonji na Bałkanach pozwoli przeciwnikom Wiednia przeciągnąć na swoją stronę Rumunję. A pozatem, że Włochy, jakkolwiek nie życzą sobie nad Adriatykiem serbów, ale w równym też stopniu lękają się tu wzrostu wpływów austriackich.

Tymczasem, w miarę, jak Wiedeń pusował Bułgarję na „Prusy Bałkanu“, Petersburg z Bukaresztem coraz czulsze począł wymieniać spojżenia. Doprowadziło to do wynagrodzenia Rumunji za niebranie udziału w wojnie i do wydarcia Bułgarji części jej zdobyczy.

Jak się dziś okazuje, Rumunja została już ostatecznie przeciągnięta na stronę trójporozumienia. Świadczy o tem zjazd w Konstancy Cesarza Mikołaja II z królem Karolem, a poniekąd i Monarsze odwiedziny Kiszyniowa.

Dawny układ austriacko-rumuński, zobowiązujący obie strony do wspólnej obrony przed atakiem rosyjskim, istnieć przestał z chwilą, gdy Petersburg i Bukareszt odnalazły zgodność interesów swych w cieśninie Dardanelskiej, przez którą oba państwa mają przejazd utrudniony.

Nie tu się jednak kończy niepowodzenie polityki austriackiej. Kłopoty sprawia jej również trudna pozycja ks. Wieda. Powstanie albańskie, cichaczem popierane przez Włochy, a w braku wszelkiej idei wnoszące, między innymi, hasło powrotu pod berło sultana, rodzi sytuację w najwyższym stopniu powikłaną. Przedewszystkiem sam ks. Wied, jako protegowany i krewniak króla rumuńskiego, nie budzi już dziś w Wiedniu dawnych sympatji. Coraz też głośniejsze mówi się o konieczności zastąpienia go przez innego „pomazańca“. Następnie powstanie owe może rozbudzić na nowo apetyty Turcji, która — dotąd przynajmniej — ciąży ku kombinacjom berlińsko-wiedeńskim. Co jednak najważniejsze, to to, iż kwestja albańska odsłaniając konflikt austriacko-włoski, grozi dotkliwym osłabieniem trójprzymierza.

Traktat, zawarty między Włochami i Francją w kwestji stosunku tych państw do poddanych tureckich Tunisu i Libji, dowodzi, że stosunki między Rzymem a trójporozumieniem zacieśniają się *via* Paryż.

Walka, przejawiająca się w powyższych faktach, szalę zwycięstwa przechyla dziś wyraźnie na stronę trójporozumienia, a przedewszystkiem Petersburga, ile że w sprawie Bałkańskiej dyplomacja rosyjska wkłada najwięcej namiętnego czynu. Anglja i Francja zdają się — napozór przynajmniej — daleko mniej nią interesować. Choć kto wie, czy nie w Londynie właśnie zbiegają się nici akcji sojuszników.

Bałkany to jedyny dziś punkt w Europie, gdzie jeszcze możliwe jest prowadzenie wojny względnie najmniej strasznej, jedyna barbarja o niewysokiej cenie życia ludzkiego. Stanowi to niewątpliwie poważny motyw

koncentrowania antagonizmów tu, a nie gdzie indziej.

W gruncie rzeczy jednak rzeziemi bałkańskimi załatwiane bywają rachunki bardzo odległe, sprawy, o których ani mordowani, ani mordujący pojęcia nie mają i nigdy może o nich się nie dowiedzą, pozostając w błogim przeświadczeniu, że walczyli tylko o własne interesy i własną wolność.

Jak dalece jednak są w błędzie, dowodzi chociażby ten fakt, iż na zjazd cesarza Wilhelma z arcyks. Franciszkiem Ferdynandem, którzy obradowali w Konpisz nad zaradzeniem niepowodzeniom bałkańskim polityki berlińsko-wiedeńskiej, przybył *incognito* król szwedzki, który na półwyspie żadnych interesów nie ma i mieć nie może.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Wilnie.

Na dorocznym walnym zebraniu członków wileńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. stan tej instytucji przedstawiano w cyfrach następujących.

W roku 1913 Towarzystwo składało się ogółem z 480 członków (231 zamieszkałych w Wilnie i 249 zamiejscowych). W tem było 19 dożywotnich, 7 protektorów, 15 korespondentów, i 420 zwyczajnych (opłacających po 5 rb. składki rocznej).

Sprawozdanie ze stanu biblioteki odczytał p. Kościalkowski. W roku sprawozdawczym ofiarowało do niej 55 osób prywatnych 343 dzieła w 478 tomach i 10 instytucji naukowych 52 dzieła w 71 tomach, czyli razem 395 dzieł w 549 tomach. Obok tego nadsyłały swe wydawnictwa 21 redakcje. W ciągu roku wciągnięto do katalogów 3.140 dzieł w 4.979 tomach, tudzież wydzielono do dubletów 444 dzieła w 755 tomach i do defektów 130 dzieł w 158 tom., czyli, że uporządkowano 3.714 dzieł w 5.892 tomach. Katalog inwentarzowy do dn. 14 stycznia r. b. doprowadzony został do № 15.000. Pozostało jeszcze do uporządkowania 11.446 dzieł w 20.265 tomach.

Do archiwum 12 ofiarodawców złożyło 65 fascykułów i dokumentów osobistych, w tej liczbie p. Kopeć materiały, dotyczące osoby generała Józefa Kopcia. P. St. Kościalkowski, w dalszym ciągu stojący na czele zbiorów archiwalnych, wciągu roku spisał i przepaginował 14 tomów „miscellaneów“ i „silwa rerum“, zawierających między innymi djarjusze sejmowe z lat 1611—1762.

Zbiory muzealne, jak wykazało sprawozdanie kustosa ich, dr. Wł. Zahorskiego, zostały pomnożone przez 64 osoby darami w liczbie 740 przedmiotów z rozmaitych działów. Obok tego zarząd nabył 43 przedmioty muzealne i zbiór 39 listów Kościuszki od hr. Józ. Sierakowskiego w autografach. Listy te przed kilku laty złożył Towarzystwu w depozycie hr. Ignacy Ledóchowski, w roku zaś ubiegłym sprzedał mu. Z cenniejszych darów złożyli pp.: Brochocka—autoportret Rustema, Marja Szperkówna—pas słucki, Mikołaj Zahorski—koran rękopiśmienny iluminowany z XV w., oraz Obrębscy—srebra stare po Orzeszkowej.

Wszystkie zbiory zostały przez d-ra Zahorskiego spakowane do skrzyń i pod osobistym jego dozorem do nowego gmachu przewiezione, za co zebranie wyraziło mu głęboką podziękę: Obecnie zbiory te klasyfikowana są przez specjalną komisję muzealną i prawdopodobnie jeszcze wciągu tego roku zostaną roz-

mieszczone w salach według przyjętego przez komisję podziału chronologicznego na okresy.

Ogólny dochód Tow. w r. 1913 wynosił 14251 rb. 21 kop. Wydatki—17,059 rub. 58 kop. Niedobór pokryto częściowo z kapitału zapasowego im. Józ. Montwiła, częściowo zaś z pożyczki, zaciągniętej w Banku Handlowym. Lwią część wydatków pochłonęła budowa gmachu—15,092 rub. 54 kop. Tow. posiada jeszcze w kasie 2,742 rub. 63 kop., lecz na Towarzystwie ciąży dług Bank. Handlowemu w sumie 20,000 rubli, który ma być pokryty z pożyczki, zaciągniętej w Banku Ziemskim pod zastaw nieruchomości.

Zmarły w styczniu 1913 r. Bolesław Rusicki testamentem rejentalnym zapisał Tow. Przyjaciół Nauk 10.000 rub. oraz zbiory dzieł sztuki. Lubo sąd okręgowy i izba sądowa testament ten zatwierdziła, jednak obecnie toczy się sprawa o obalenie testamentu, wszczęta przez daleką krewną zmarłego, p. Ganszyna, z gub. ufańskiej, która została pominięta w testamencie.

Sprawa wcielenia do zbiorów T. P. N. zbiorów rozwiązującego się Tow. Muzeum Nauki i Sztuki, już kilkakrotnie na zebraniach T. P. N. omawiana, na ostatnim zgromadzeniu została rozstrzygnięta ostatecznie. Dr. Zahorski, który ją zreferował i złożył odpowiednie dokumenty, wyjaśnił, iż fuzja ta została uwarunkowana ze strony Tow. Muzeum Nauki i Sztuki wyborem do zarządu T. P. N. hrabiów Antoniego i Władysława Tyszkiewiczów, z których ofiar zbiorów te głównie powstały. O ileby w przyszłości hrabiowie Tyszkiewiczowie nie zostali wybrani na następne trzecie, to zbiory Tow. Muzeum Nauki i Sztuki mogą być z T. P. N. cofnięte. Ze względu na wartość naukową i artystyczną tych zbiorów, zebrani bez dłuższej dyskusji warunek ten przyjęli.

KRONIKA.

= O „tajne szkoły polskie“

Po porozumieniu się ministerjum oświaty z ministerjum spraw wewnętrznych w kwestji „tajnych szkół polskich“ na Litwie, polecono gubernatorom: W razie odkrycia tajnego nauczania, karać winnych w drodze administracyjnej. Kara spadać ma nie tylko na nauczyciela domu lub lokalu, w którym znaleziono szkołę. Rodzice, posyłający dzieci na naukę, też winni podlegać karze i to w większym stopniu, niż nauczyciele i właściciele domów. Wysokość kary dochodzi do 500 rb., lub 3-ch miesięcy więzienia.

= Ordynans ks. Józefa.

Na Wołyniu (w okolicy Korca) zmarł, przeżywszy lat 124, Paweł Pawłowski, ordynans ks. Józefa Poniatowskiego i naoczny świadek jego śmierci.

= Los samorządu miejskiego w Królestwie.

Wydany został rozkaz, wnieść ponownie do izb prawodawczych projekt samorządu dla miast Król. Pol. Rząd spodziewa się, że przy pewnem „ustosunkowaniu sił“, Rada Państwa po raz drugi projektu nie odrzuci.

= Zbytnia gorliwość.

Zarząd główny do spraw prasowych zwrócił uwagę warszawskiego komitetu tymczasowego do spraw cenzury, iż dokonują konfiskat organów prasy periodycznej bez dostatecznych powodów, skutkiem czego połowę konfiskat sądy zazwyczaj uchylają.

= Sprawa Antoniego Langego.

W swoim czasie zapadł wyrok, skazujący na 8 miesięcy twierdzy znanego poeetę, Antoniego Langego, za bluźnierstwo,

którego dopatrzono się w książce, zatytułowanej „O sprzecznościach sprawy żydowskiej“, w ustępach, omawiających stary i nowy testament. Izba sądowa odrzuciła apelację p. Langego i zatwierdziła wyrok, skazujący. Skazany odwołał się ze skargą do senatu.

— Wyrok w sprawie bar. Bispinga.

W Warszawie zakończył się sensacyjny proces o zamordowanie ks. Władysława Druckiego Lubeckiego. Oskarżonego o zbrodnię tę, bar. Jana Bispinga, skazano na 4 lata rot aresztanckich, pozbawienie szczególnych praw i przywilejów, wreszcie ordynacji massalańskiej.

— Nowi rektorzy.

Rektorem uniwersytetu Jagiellońskiego został ponownie prof. Kostanecki, rektorem Akademii sztuki prof. Mehoffer.

— Zjazd prawników polskich.

Pierwszy ogólny zjazd adwokatów polskich odbędzie się we Lwowie w d. 15 (28) i 16 (29) b. m. Nadesłano przeszło 30 referatów ściśle zawodowych o rozwoju i stanie obecnym adwokatury polskiej, o godności i etyce zawodowej, o prawach i obowiązkach adwokatury, jakoteż na tematy ogólnoprawne: o pochodzeniu prawa, o polskiej terminologii prawniczej i t. p.

— 3,000,000 Akademii Umiejętności.

Dnia 23 maja r. b. odbyło się doroczne walne zgromadzenie krakowskiej Akademii Umiejętności.

Fundusz żelazny Akademii wynosi 3.000.000 koron. Ofiarność na cele Akademii ze strony społeczeństwa polskiego jest wielka, głównie w zaborze rosyjskim.

— Dla skautów polskich.

B. poseł na sejm, Zygmunt Lewakowski, zapisał połowę parku w Pustomytach i duży dom murowany skautom polskim.

— Sprawa adwokatów petersburskich.

Za wysłanie rezolucji obrońcom Bejlisa skazano grono adwokatów petersburskich: Sokołowa i Kierenskiego na 8 miesięcy więzienia, a Perewcewa, Wolkensteina, Feodosjewa, Bobriszczewa-Puszkina, Mogiłanckiego, Isaczenkę, Goldberga, Szirwindta, Friedsteina, Kahna, Barta, Rabinowicza, Goldenber-

ga, Seluka, Blocha, Wrzoska, Pamsohna, Korowiczenkę, Isajewa, Janowskiego, Jampolskiego, Rosena i Chienka na 6 miesięcy więzienia.

— Zawzięty denuncjant.

Niejaki Smilgo wniósł do Senatu skargę na naczelnika miasta Moskwy. Zdaniem Smilgi, administracja kościoła św. Piotra i Pawła sprowadziła jezuitów dla wykładania w szkole parafjalnej. Jezuita ci „dążyli do przymusowej polonizacji litwinów, uczniów szkoły“. Wbrew skargom Smilgi, naczelnik miasta nie zarządził śledztwa dla zbadania działalności administracji kościoła. Senat zażądał informacji dodatkowych od ministerjum spraw wewnętrznych.

— Przeciw neofitom.

Ogłoszone zostały warunki przyjmowania kandydatów do akademii wojskowo-medycznej, na zasadzie których nie będą przyjmowani synowie i wnukowie osób, urodzonych w religii żydowskiej.

Treść:

Groźny objaw — H. R. C.
 Na rozdrożu — B. Rozstański.
 Przesilenie gabinetowe we Francji — „sta...
 Nowe uściski — Wester.
 Z Warszawy — W. Kiślańska.
 Żyję!... (wiersz) — W. Stanisławska.
 Na marginesie — Behra.
 Listy do Redakcji — L. Abramowicz.
 Z salonu Rychlinga — E. Pietkiewicz.
 Przegląd piśmienniczy — E. Woroniecki.
 Prasa polska.
 Głosy rosyjskie.
 Na widnokręgu.
 Tow. Przyjaciół Nauk.
 Kronika.
 Odcinek: „Harfa czarodziejska“ — B. Hertz.

!! Ostatnie przypomnienie !!

Dostępna dla każdego możliwość zakupu działki gruntu

w najlepszej dzielnicy Wilna, w „Zwierzynku“. Miejsowość ładna i zdrowa; las, rzeka. Ceny i warunki dogodny. Śpiesznie nabywać! Do sprzedania pozostała nader szczupła ilość gruntu. Zabezpieczcie się — kupić możecie tylko w tym sezonie. Po informacji należy się zwracać do Biura sprzedaży parceli w Zwierzynku:

Wilno, Zwierzyniec, Prospekt Ś-to Jerski d. № 68. Telefon № 46.

Informacje są udzielane w ciągu całego dnia, nie wyłączając świąt.

TOWARZYSTWO KREDYTOWE m. WILNA

Prospekt Ś-to Jerski 5.

Wydaje pożyczki długoterminowe pod zastaw domów i placów niezabudowanych w obrębie miasta. Pod murowane domy i place: na 36 lat 10 mies. i 36 lat 4 mies. na 6½% przy amortyzacji 1%. Pod drewniane na 19 lat 11 mies. na 8½% przy amortyzacji 3%.

Wylosowuje dwa razy do roku w końcu lutego i sierpnia listy zastawne swego T-wa, za które wypłaca sto za sto.

Listy zastawne T-wa są przyjmowane jako kaucja przy wszelkich przedsiębiorstwach i dostawach rządowych i pod zastaw w Banku Państwa po 60 za 100.